Jedność

PISMO RELIGIJNO-SPOŁECZNE

ROK IV (XVIII) WARSZAWA STYCZEŃ 1960 NR 1

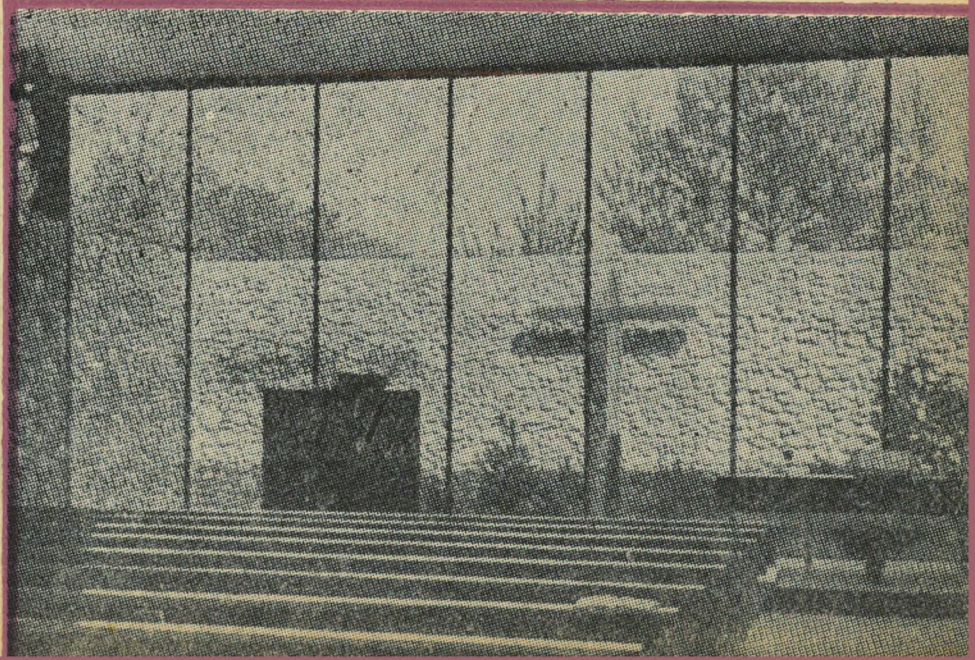

S P I S T R E Ś C I

1. Więcej optymizmu — *Ks. Jan Niewieczerzał* . 1
2. Niedziela — *Oscar Cullman* . 3
3. Jan Łaski (W czterechsetną rocznicę śmierci) — *Ks. Dr Emil Jelinek* 4
4. Szermierze pokoju — *Ks. O. Krenz* . 8
5. Język polski w nauczaniu i nabożeństwie dla ludności ewangelickiej w Prusach — *Ks. Dr Karol Kotula* . . 10
6. U kolebki państwowości polskiej — *Janusz Oksza* . . . 13
7. Ks. Otton Krenz (W 70-tą rocznicę urodzin) . 14
8. Rozważania o czasie i ludziach — *Ks. Ryszard Trenkler* . . 15
9. Śladami minionego czasu (Fragment) — *Ks. Jan Niewieczerzał* . . . 18
10. Wiadomości sprzed pół i ćwierćwiecza — *Wybrał W. B.* 20
11. Łódzkie koncerty organowe . 21
12. Kronika stołeczna . 22
13. Komunikat . 23
14. Z kraju i ze świata . 24

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83
REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał
Z-ca Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler
PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedynczy 4 zł
Konto PKO Warszawa — 1-7-110.097
Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła

Stoł. Zakł. Graf. Zakł. Wyd. Zam. 903 nakł. 2000 — C-14.

Jednota

ROK IV (XVIII) NR 1

WARSZAWA 1960 r. STYCZEŃ

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

KS. JAN NIEWIECZERZAŁ

WIĘCEJ OPTYMIZMU

— Albowiem ktobykolwiek chciał zachować duszę swoją, straci ją; a ktobykolwiek stracił duszę swą dla mnie, ten ją zachowa.

Ew. Łuk. 9, 24.

Jest w zwyczaju pisać na początku roku uwagi na temat nadziei jakie z tym nowym okresem łączymy. Niekiedy trudno uchronić się od powtarzania kiedyś już wypowiedzianych myśli i życzeń, ponieważ w gruncie rzeczy nasze pragnienia i nadzieje będą podobne do tych z roku minionego. Trudno zresztą by było inaczej. Wszak owe dwanaście miesięcy, dzielące nas od pierwszej godziny stycznia 1959 r., przeminęły niby szybki sen, który się już nie pwtórzy. Toczący się kołowrót czasu zamknął jeden rozdział z księgi ludzkich dziejów. W morzu czasu utonął znowu jeden odcinek hitorii wzbogacając swymi barwami mozaikę świątyni życia.

Jest faktem, że życie życiu nierówne. Nie wdając się w rozważania psychologicznej natury, stwierdzić możemy, że pośród milionów ludzkich istnień, pośród przeróżnego typu charakterów i natur na czoło wysuwają się te jednostki, które skupiając w sobie niby w soczewce dążenia i pragnienia grup, środowisk, czy też czasu, mocą swego serca i myśli nakreślają dalsze drogi pokolenia.

Dla nas, chrześcijan, taką centralną postacią — oczywiście w innej całkiem płaszczyźnie — jest postać Jezusa Chrystusa. W Nim i wokół Niego rozgrywa się od wieków dramat naszego istnienia, w Nim poszukujemy dla siebie siły, odwagi i twórczej inwencji dla spełnienia powierzonych nam przez Boga zadań w przeżywanym czasie. Od Niego samego płynie niby z ożywczego zdroju szczególna moc, pozwalająca jego wyznawcom w doli i niedoli zdobywać się na konkretne akty wiary, świadczące o działaniu Boga i poprzez tak mizerne stworzenia jakim jest człowiek. Fakt ten jest w naszym chrześcijańskim zrozumieniu jednym z istotnych powodów do optymizmu, z którym wkraczamy w nowy rok. Fakt ten, pomimo całego szeregu dowodów wręcz przeciwnych, usprawiedliwia naszą wiarę w harmonijny rozwój życia na ziemi, w zapanowanie na naszym globie pokoju i sprawiedliwości.

By to się stało, winniśmy i my, polscy protestanci, z większą niż dotychczas mocą wiary i przekonania włączyć się w szeregi świadomych twórców stale tworzącej się rzeczywistości. Od dłuższego już czasu obserwujemy niepokojący objaw marazmu, upadku ducha i twórczego działania. Gdzie leży przyczyna? W zmęczeniu, trudnościach życia, czy też w słabości ducha, wywołanej brakiem istotnego ideału, bez którego życie staje się pustką i beznadziejnym bytowaniem? By życie miało jakiś sens, musi być związane z czymś, co je wzbogaca i uświęca. Dla nas winny być zrozumiałe słowa, wypowiedziane kiedyś przez Jezusa: Ktobykolwiek chciał zachować duszę swoją, straci ją; a ktobykolwiek stracił duszę swą dla mnie, ten ją zachowa. Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, gdyby samego siebie stracił, albo sobie uszkodził.

Ongiś, w czasie kiedy zastępy wydziedziczonych, pozostawionych własnemu losowi ludzi, z beznadziejnością spoglądały w przyszłość, słowa te nabrały istotnej treści i rumieńców. Pozorny paradoks, niezrozumiały niekiedy

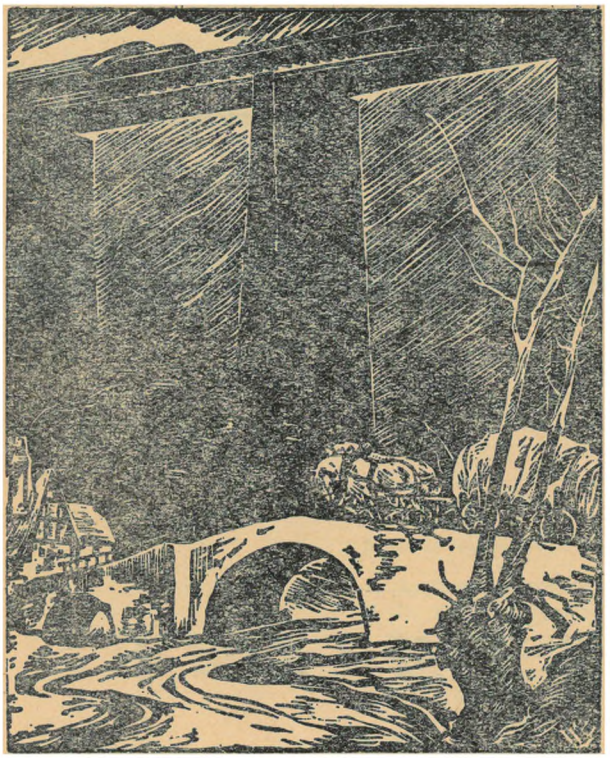

i dla dzisiejszych wyznawców, stał się dla prostych rybaków impulsem do twórczego działania. Za nimi poszli inni. Nie tylko rybacy, pasterze i ciemiężeni niewolnicy. Siła, pozwalająca kruszyć kajdany cielesnej niewoli, przerodziła się w umysłach naśladowców Ukrzyżowanego w owoce ducha miłości, pokoju i ofiarnej pracy dla szczęścia i braterstwa wszystkich ludzi. Siły tej nie zdołały zniweczyć okrutne prześladowania cezarów, płomienie stosów, topory gilotyn, ni ciemne cele więzienne. Wielu było takich, co dosłownie dla Chrystusa oddawali swe życie, by, jak wierzyli, życie pełne odnaleźć.

Za każdy drogocenny klejnot trzeba płacić. Tylko śmiecie nic nie kosztują. Również i plewy są tanie. Był czas, kiedy nasi przodkowie za wolność wiary płacili daniną krwi i męczeństwa, tułaczką i wszystkim, co posiadali. I nie wydawało im się to zapłatą zbyt drogą. Zachowali bowiem skarb dla nich najcenniejszy: ideał swego życia — Chrystusa i czystą apostolską wiarę.

W przemianach czasu zmieniała się i forma chrześcijańskiej służby owemu ideałowi. Istotna treść jednak pozostaje po dziś dzień ta sama. Na miarę i potrzeby swego czasu służyli apostołowie, potrzeby swego wieku zaspokajali ojcowie kościoła, do walki o czysty Kościół czuli się zobowiązani reformatorzy, świadectwo swej wiary dawali za drutami obozów Bonnhoefferowie, a w puszczach równikowych po dziś dzień służą czarnym braciom Schweitzerowie. Wszyscy oni w szczerej woli służenia Bogu i ludziom zapominali o swoim „ja", zatracali „duszę" swoją dla pozyskania czegoś o wiele cenniejszego.

Czy my, polscy ewangelicy, gotowi jesteśmy na podobne ofiary? Wydaje się raczej, że, jak mówi apostoł, jesteśmy raczej skłonni szukać tylko tego co nasze, zapominając o właściwym naszym posłannictwie. Skarłowaciały nanasze dusze, wygasł ogień serc. Wiara przemieniła się, ogólnie rzecz biorąc, w powierzchowne kościelnictwo, zapał do ewangelicznych czynów zgasł w zimnym wyrachowaniu. Dlatego smutek i tak często spotykane przygnębienie.

Nowy rok daje nam okazję do wyprostowania pochylonych karków. Nieznany jeszcze czas oczekuje na tych, co powolni będąc woli Chrystusowej przekroczą zaklętą otchłań apatii i gnuśności, zatracić zechcą dotychczasowe kompleksy beznadziejności, obaw i małości, by przystąpić z nową wiarą do chrześcijańskiej, ewangelickiej służby na miarę potrzeb naszego czasu.

I Ojczyzna nasza, tyle razy ciężko doświadczana w ciągu wieków, poszczycić się może szeregiem sławnych ludzi, którzy na pustyni duchowego życia rozpalali ogień lepszego, doskonalszego i pełniejszego bytowania. Historia złotymi zgłoskami zapisała imiona bohaterów, składających swe życie na ołtarzu wolności narodu, imiona ludzi, którzy oddali wszystko, co mieli najdroższego dla sprawy czystego Kościoła chrześcijańskiego. Jednym z nich był i Ojciec duchowy polskiego Kościoła Reformowanego, organizator Kościoła na obczyźnie, tułacz i gorliwy sługa Chrystusowy, czołowa postać polskiej reformacji, reformator Jan Łaski, którego 400-ną rocznicę zgonu przypominamy sobie w dniu 8 stycznia 1960 r.

Na jego i innych przykładzie możemy się i dzisiaj uczyć umiłowania prawdy Bożej, wytrwałości, hartu ducha i przejęcia się ideą, nakazującą mu zapomnieć o sobie, o ofiarowywanych mu zaszczytach i dobrobycie po to, by w optymistycznej miłości do Boga znaleźć wszystko w Chrystusie.

Na początku też tego jubileuszowego roku Łaskiego a zarazem w piętnastolecie wyzwolenia naszej stolicy, która jak fenix z popiołów wyrosła do nowego życia, trzeba i nam na nowo przyjrzeć się odziedziczonym wartościom, o których tak często zapominamy. W obliczu coraz to nowych dowodów entuzjastycznego przyjmowania ewangelii przez młode, dalekie narody i my, polscy ewangelicy, winniśmy lepiej i chętniej szafować przekazanymi nam przez przeszłość wartościami.

Nowy rok będzie okazją dla nas wszystkich do uświadomienia sobie naszych zaniedbań i ciążących na nas wobec Boga i ludzi obowiązkach. Wierzymy, że choćby były one najcięższe i najtrudniejsze, to jednak będziemy w stanie je wypełnić. Wszystko mogę w Chrystusie — mówi apostoł. Wiele wykonać może ten, co swe siły, możliwości i talenty odda Bogu do dyspozycji. Błogosławiony i szczęśliwy będzie, kto przyjmie wezwanie Pana: Ktobykolwiek stracił duszę swą dla mnie, ten ją zachowa...

OSCAR CULLMANN

NIEDZIELA

Profesor uniwersytetu w Bazylei już przed laty wydał niewielką, ale cenną książkę „Urchristentum und Gottesdienst" (Basel 1944). Aczkolwiek od jej wydania minęło już lat kilkanaście, nie straciła dotąd nic ze swej świeżości i aktualności, i jeszcze dziś sięgamy po nią z przyjemnością. Z książki tej podaję przekład drugiego rozdziału, traktujący o miejscu i czasie nabożeństw apostolskiego prazboru. Temat aktualny.

Z pierwszej części Dziejów Apostolskich (2 46 i 5, 42; por. także 24, 53) dowiadujemy się, że pierwsi chrześcijanie zgodnie z żydowskim zwyczajem chodzili do świątyni. Zresztą i Jezus, ilekroć przebywał w Jerozolimie, każdego dnia uczył w świątyni (Mk 14, 49). Słyszymy jednakże, że chrześcijańskie zebrania zborowe wyszły niebawem poza ramy zwyczajów żydowskich. Uczniowie Jezusowi od samego początku zbierali się w prywatnym domu matki Jana Marka (Dz 12, 12), w Wieczerniku, w którym Jezus zgromadził się z uczniami przy ostatniej wieczerzy (Dz 1, 13). Tu też zapewne zstąpił Duch św. na zgromadzonych apostołów (Dz 2, 1).

Wyrażenie Dziejów Apostolskich (2, 46 i 5, 42) KAT OIKON można oczywiście traktować jako liczbę mnogą i w tym przypadku będzie znaczyć, że prazbór jerozolimski zgromadza się na wspólne swoje nabożeństwa nie w jednym, lecz na przemian w różnych domach. Nie wydaje się jednakże, aby tak istotnie było. Wyrażenie HE KAT OIKON EKKLESIA podobnie jak EN TO HIERO (w świątyni może równie dobrze oznaczać liczbę pojedynczą, a więc „w domu", podobnie jak to się działo „w domu" Ahwili i Pryski w Efezie (1K 16 19) i w Rzymie (Rz 16, 5), albo „w domu" Filemona w Kollosach (Fm 2), czy „w domu" Nymfasa w Laodycei (Ko 4, 15). Również Rz 16, 23 pozwala przypuszczać, że taki domowy zbór był w Rzymie.

Pierwsi chrześcijanie przywiązywali wielkie znaczenie do tego, aby zbór zbierał się w j e d n y m miejscu. Zebrania specjalne nie były mile widziane, a Ignacjusz Antiocheński wyraźnie ostrzega przed takimi, którzy się oddzielają i nie biorą udziału we wspólnych nabożeństwach.

W późniejszych czasach słyszymy, że miejscem wspólnych zebrań zborów pogano-chrześcijańskich było TRICLINIUM. Rozumie się, że taka salka nie mogła pomieścić większej ilości osób. Acta Saturini stwierdzają, że w prywatnym domu w Abitynie zeszło się 47 osób.

Dzieje Apostolskie stwierdzają, że nabożeństwa odbywały się zrazu codziennie. Początkowo tu i owdzie święciło się żydowski sabat. Nie było to jednakże zjawiskiem powszechnym, jak na podstawie Mt 24 20 sądził H. Lietzmann (Geschichte der alten Kirche 1932, 57). Wyrażenie MEDE SABBÁTION paralelne miejsce u Marka (13, 18) opuszcza. Możliwe, że jak Marek mógł wypuścić to wyrażenie samowolnie, tak i Mateusz mógł samowolnie to wyrażenie do tekstu dołączyć.

Podobnie jak Prazborowi chodziło o to, aby nabożeństwa odbywały się na jednym miejscu, podobnie kładł on wielki nacisk na to, aby odbywały się one o jednej porze. Już w najstarszych czasach utarło się odprawiać nabożeństwa w ściśle określony dzień, w d z i e ń P a ń s k i (1K 16, 21; Dz 20, 7; Ob 1, 10; Didache 14, 1 itd.). Dniem tym nie był żydowski sabat. Pierwsi chrześcijanie umyślnie odprawiali nabożeństwa innego dnia, aby odróżnić się od Żydów. Zamiast siódmy dzień w tygodniu, święcili dzień pierwszy. Nie była to rzecz przypadku. Święcili dzień pierwszy, ponieważ tego dnia Chrystus wstał z martwych i ukazał się swym uczniom.

Dzień Pański pierwszych chrześcijan był zatem świętem zmartwychwstania Pańskiego. Każdy dzień Pański był świętem zmartwychwstania, który w owym czasie nie obchodzono tylko w jedną niedzielę roku. O tym sensie niedzieli dziś często zapominamy. Mamy tu do czynienia ze świętem specyficznie chrześcijańskim. A że wywodzi się ono ze zmartwychwstania Pańskiego, uwydatnia to jeszcze bardziej swoisty sens i treść pierwotnych chrześcijańskich nabożeństw. Jeszcze w czasach Tertuliana (De corona mil. cap. 3) przejawiało się to w taki sposób, że w niedzielę na znak wielkanocnej radości nie odbywano postów i nie klękano przy modlitwie.

Dzień ten zrazu nie był specjalnie oznaczany. Jest on w dalszym ciągu zgodnie z żydowskim schematem chronologicznym nazywany pierwszym dniem tygodnia. Jako taki pojawia się w relacjach ewangelistów o zmartwychwstaniu. Podobnie nazywa go apostoł Paweł (1K 16, 2). Wzywa on Koryntian, aby tego właśnie dnia pamiętali na kolektę dla potrzebujących. Dzieje Apostolskie (20 7) w relacji „My" stwierdzają że zebranie, na którym Paweł kazał aż do północy, odbywało się właśnie „pierwszego dnia tygodnia".

Dopiero w Objawieniu św. Jana (1, 10) spotykamy po raz pierwszy specyficznie chrześcijańskie oznaczenie tego dnia jako „dnia Pańskiego". Podobnie czyni to Didache (14, 1), „Nauka dwunastu apostołów", niekanoniczne

pismo z I. wieku. Pamiętać przy tym winniśmy, że pod słowem „Pan" (KYRIOS) chrześcijanie mieli na myśli nie Boga, lecz Chrystusa. Niedziela zatem była dniem Chrystusa, dniem zmartwychwstania Chrystusa.

Niemcy nazywają dzień Pański dniem słońca (Sonntag, por. franc. Dimanche od Dominica). Wyrażenie to wielu interpretuje w sensie starotestamentowego przykazania o sabacie jako dzień Boży. Wychodząc jednak z faktu zmartwychwstania Pańskiego chrześcijanie słusznie przenieśli ustanowiony przez Boga dzień odpoczynku, sabatu na dzień zmartwychwstania. Nie zapominajmy, że nabożeństwo chrześcijańskie odbywa się w dzień, „w którym Jezus wstał od umarłych" (List Barnaby 15, 9).

Dzień ten jest niejednokrotnie zespalany z pogańskim kultem słońca, w którym upatruje się symbol zmartwychwstania. Przyczyniło się do tego rozpowszechnione w sferach chrześcijańskich oznaczanie tego dnia jako dnia słońca. Po raz pierwszy stwierdza to w swej Apologii Justyn Męczennik (I, 67, 3). To właśnie skłoniło silnie synkretystycznie nastawionego cesarza Konstantyna Wielkiego do urzędowego uznania niedzieli za dzień odpoczynku (por. Felix Stähelin: Constantin der Grosse und das Christentum, w Zeitschrift für Schweiz. Gesch. 1937, 385). Nie przesądza to jednak faktu, że niedziela z takimi koncepcjami nie ma nic wspólnego. Jest ona specyficznie chrześcijańskim świętem Prazboru.

KS. DR EMIL JELINEK

Jan Łaski

W czterechsetną rocznicę śmierci

I. PRZEŁOM DUCHOWY

Reformacja polska to słomiany ogień, rozdmuchany na chwilę do potwornych rozmiarów. Takie stwierdzenie podał przed pół wiekiem Aleksander Brückner w swym dziele „Różnowiercy polscy" (Warszawa 1905,8). Twierdzenie to nie jest pozbawione pewnej słuszności. Od pierwszego dnia Reformacja w Polsce odczuwała brak ludzi i środków, a jej korzenie krzewiły się w polskich głowach niesłychanie płytko. Najbłahsza zaś przyczyna sprawiała, że ziarna Reformacji ginęły bez śladu. Reformacja w Polsce była raczej wyznaniem wiary szlachty (jeżeli nie pańskim kaprysem i cząstką „złotej wolności"), niż ruchem ludowym, jak to z reguły było na Zachodzie. Toteż, gdyby Reformacja w innych krajach znajdowała takich zwolenników, jak w Polsce zapewne nie przetrwałaby długo.

Jan Łaski

Brückner przypuszcza, że gdyby ten sam protestantyzm wzrósł w Polsce wyłącznie między wiejskim czy miejskim gminem, historia nie wyrzekłaby o nim jednego nawet słowa. Z tym ostatnim zdaniem uczonego badacza trudno się zgodzić, wiadomą bowiem rzeczą jest, że Reformacja w Polsce upadła właśnie dlatego, że była tylko „wiarą szlachecką" i „pańskim kaprysem", a nie ruchem ludu Gdyby do Reformacji garnęły się szerokie rzesze polskiego ludu, nic w świecie nie zdołałoby jej zniszczyć, a powiedzenie „Polak to katolik" nie istniałoby w ogóle. Nie pomogłaby wtedy najsroższa reakcja jezuicka, podobna nawet tej, jaka wybuchła w Czechach po bitwie na Białej Górze. Główną przyczyną upadku Reformacji w Polsce było właśnie to, że nie zdołała ona dotrzeć pod wiejskie strzechy i do miejskich warsztatów rzemieślniczych. Nie chłopską bowiem, lecz pańską rzeczą było, że na rozkaz posiadacza dóbr ziemskich burzono w kościele ołtarze, niszczono obrazy i łamano świece, a Komunię św. kazano podawać pod postacią chleba i wina. Chłop wszystko to przyjmował posłusznie, uważając, że to nie jego, lecz pańska sprawa. Słusznie też K. Völker w tym właśnie upatruje główną przyczynę upadku Reformacji w Polsce („Kirchengeschite Polens", Berlin, 1930,159).

Brak ludzi, gorąco przywiązanych do Ewangelii, wprawdzie niemałą był przyczyną zaniku protestanc-

kiej myśli w Polsce, lecz nie przyczyną najważniejszą. Gdyby bowiem ten nieliczny poczet ludzi, którym sprawa Ewangelii leżała na sercu, zwrócił się ze swym apostolstwem nie do szlachty i panów, lecz do ludu, gdyby to apostolstwo poparł postulatami społecznymi, wówczas znalazłyby się siły do utrzymania sztandaru Reformacji.

W Polsce, wśród ludzi szczerze oddanych Reformacji i ożywionych jak najlepszymi intencjami, brak było uzdolnionej jednostki dla prowadzenia dzieła Reformacji. (Por. H. Dalton „Lasciana", Berlin, 1898, 375). Jeden był tylko mąż, godzien wprawdzie miana nie polskiego reformatora, natomiast gorliwego i zdolnego krzewiciela i organizatora sprawy Chrystusowej. Był nim Jan Łaski. Lecz i on zrządzeniem Boskim więcej działał na obczyźnie, niż w kraju, będąc reformatorem Fryzji Wschodniej i organizatorem Kościoła ewangelickiego w Anglii.

Ród Łaskich wywodzi się z Ziemi Sieradzkiej, a nazwany został od rodowego miasteczka Łask. Ród ten już na przełomie XV i XVI wieku odgrywał poważną rolę w Kościele i państwie, lecz wzniósł się wysoko przede wszystkim dzięki zasługom arcybiskupa Jana Łaskiego (1510-1531). Ten to arcybiskup gorąco ukochał i gorliwie zajmował się synami swego brata Jarosza, wojewody sieradzkiego: Jaroszem, Janem i Stanisławem. Średni Jan, urodzony w r. 1499, był najwątlejszym dzieckiem, z dawna przeznaczonym do stanu duchownego. Pacholęce lata Jana wypełnił pobyt w domu rodzinnym w Łasku oraz na dworze stryja arcybiskupa w Krakowie, gdzie ten przeważnie przebywał, z tytułu swych obowiązków kanclerskich.

Gdy w roku 1513 arcybiskup wyprawiał się na dłuższy pobyt do Rzymu, aby wziąć udział w soborze powszechnym, zabrał z sobą dwóch starszych synowców na studia za granicą. Młodemu Janowi, który przywykł już do życia we Włoszech, pobyt w kraju nie bardzo przypadł do gustu, aczkolwiek stryj arcybiskup wpływami w Polsce a pieniędzmi w Rzymie wyrabiał mu jedno beneficjum kościelne po drugim. Dwudziestodwuletni młodzieniec zostaje wyświęcony na księdza. Jednocześnie synod piotrkowski mianuje go dziekanem gnieźnieńskim i delegatem kapituły. Tego samego roku 1521 król mianuje młodego księdza swym sekretarzem.

Jednak młody dostojnik kościelny i dworzanin królewski nie pozostaje w Polsce. Gdy w dwa lata później starszy jego brat wyprawia się w misji dyplomatycznej — towarzyszy mu młody prałat, udając się do Paryża, przede wszystkim zaś do Bazylei. Tu nawiązuje bliższe, przyjacielskie stosunki z wielkim humanistą, Erazmem z Rotterdamu. Ponieważ podawano w wątpliwość prawowierność kościelną Erazma — stryj arcypiskup nakazuje synowcowi powrót do kraju, i to z pominięciem Wittenbergi, bowiem król zakazał studiów w ośrodkach reformacyjnych. Jest to rok 1526. W Krakowie sypią się konfiskaty zakazanych ksiąg.

Długie lata, spędzone na studiach zagranicznych, sprawiły, że Łaski nie czuł się w Polsce dobrze. Wolał też przebywać na obczyźnie, wśród uczonych humanistów. Ostatni ślad pobytu Łaskiego w kraju znajdujemy w roku 1538, kiedy to — dnia 21 marca — zainstalował się na świeżo uzyskanej archidiakonii warszawskiej, połączonej z prałaturą w kapitule poznańskiej. Z wiedzą i pozwoleniem królewskim, opuszcza kraj jeszcze tegoż roku, lub latem roku następnego.

Dojrzały, czterdziestoletni Łaski, nie jedzie do żadnego z wielkich ognisk Reformacji: Wittenberga, Genewa, Zurych czy Bazyleja nie nęcą go. W tym czasie Łaski nie jest ani luteraninem, ani zwinglianinem, ani kalwinistą. Jest chrześcijaninem (jak wówczas mówiono) i wiernym synem Kościoła. Oczywiście — podobnie jak jego mistrz i przyjaciel, Erazm z Rotterdamu — rad widziałby w Kościele pewne zmiany i reformy, ale nie żadne ewangelickie rewolucje. Łaski był w owym czasie zwolennikiem wolności sumienia i przekonań, a tych ani w Wittenberdze ani w Genewie nie uznawano. Stojąc na gruncie nauki Kościoła rzymsko-katolickiego, zgłębia Łaski Pismo św., do czego dał mu bodziec „król humanistów" i jego osobisty przyjaciel, Erazm z Rotterdamu.

W tym czasie zaostrza się zmysł krytyczny Łaskiego, aczkolwiek wobec Reformacji zajmuje jeszcze wówczas postawę negatywną. Wyraźnie potępiał „tyranię" luterską, która zabraniała otwarcie wypowiadać się na tematy religijne i kościelne. W znanym sporze Erazma z Lutrem o wolności woli Łaski stanął zdecydowanie po stronie swego przyjaciela i bodaj nigdy nie zrezygnował z tego stanowiska. (Por. Abraham Kuyper „Joannis a Lasco opera edita quam inedita", Amsterdam—Haga, 1866, II, 57 i 676 oraz CR 42,1750). Oskar Bartel — w swej ładnej, szeroko zakrojonej a dotąd niedokończonej pracy o Janie Łaskim (Warszawa, 1955, I, 109) — stwierdza, że los Reformacji jeszcze około roku 1540 był Łaskiemu całkowicie obojętny. Wprawdzie zachodziły w nim zmiany w poglądach na Reformację, lecz sympatie dla niej budziły się w nim powoli. Według relacji Hozjusza, Łaski jeszcze w roku 1539 kandyduje na biskupstwo poznańskie.

Pierwsze kroki na obczyźnie skierował Łaski ku Frankfurtowi nad Menem. Następnie, ze swym przyjacielem — Holendrem, Albertem Hardenbergiem, przenosi się do katolickiego Lowanium. I właśnie tutaj, w tej ostoi fanatycznego katolicyzmu — dziwnym zrządzeniem Bożym — dostaje się Łaski pod wpływ Ewangelii. Stało się to na poufnych zebraniach religijnych, odbywających się po domach mieszczańskich. Pierwszemu wpływowi Ewangelii ulega Łaski w jednym z kółek „Braci i sióstr wspólnego życia". Tu też poznaje młodą panienkę i... żeni się z nią. Był to bardzo odważny krok: Łaski jest pierwszym polskim księdzem, który ośmielił się złamać celibat. Czynem tym Łaski ściągnął na siebie podejrzenie sprzyjania Reformacji.

Tymczasem w kraju arcybiskup „Kufel", czyli Piotr Gamrat, człowiek życia niezbyt cnotliwego (od jego nazwiska mianowano wesołe dziewczęta „gamratkami"), niechętnym okiem patrzył na rodzinę Łaskich, z racji politycznych awantur Jarosza Łaskiego na Węgrzech, które sprawiły Polsce niemało kłopotów. A gdy jeszcze w ciągu roku 1540 dotarła wieść o ożenku prałata Łaskiego — natychmiast pozbawiono go beneficjów i dochodów kościelnych. Nie to wszakże — jak twierdzi Völker — było przyczyną, że Łaski w początkach 1542 roku pojawił się w kraju: niespodziewanie i w tajemnicy. Przyjechał do

brata Jarosza, który — po awanturniczym życiu politycznym — dogorywał.

Z tym to pobytem Łaskiego w Krakowie łączy się dość ciemna sprawa. Mianowicie, dnia 6 lutego 1542 roku, składa on na ręce arcybiskupa Gamrata uroczystą przysięgę i pisemne wyznanie wiary, w którym — jak powiada Brückner — wszystkiego się wyparł. Ks. Fijałek zaś twierdzi, że Łaski dopuścił się krzywoprzysięstwa. (Legenda o Janie Łaskim i przysięga jego krakowska 1542, „Reformacja w Polsce", II, nr 5—6). Obaj oni, Brückner i Fijałek, mają przede wszystkim na myśli małżeństwo Łaskiego. Tymczasem chodziło o całkiem inną rzecz. Sprawę małżeństwa wesoły arcybiskup wolał przezornie zbyć milczeniem. Łaski mianowicie oczyścił się ze stawianych mu przez wrogów zarzutów jakoby porzucił Kościół rzymsko-katolicki i przystał do Reformacji. Z aktu tego czytamy, że Łaski przyznaje się, iż — za indultem apostolskim — czytał wiele pism heretyckich, ale nigdy nie przyjął żadnej nauki, obcej świętemu, katolickiemu i apostolskiemu Kościołowi rzymskiemu. Z dobrą wolą i wiedzą nie przyjął żadnej nauki ani zdania, przeciwnych rzymskiemu Kościołowi, i we wszystkim godziwym ślubuje posłuszeństwo. Nie dość tego! 3 marca 1542 roku Łaski staje przed kapitułą krakowską i — powołując się na wyznanie, złożone przed Gamratem, użala się, że jego pobyt zagraniczny (a więc nie małżeństwo!) wywołał „obmowiska". Prosi też kapitułę, aby go nadal broniła.

Znacznie gorzej przedstawia się „komedia krakowska" Łaskiego — jak ją nazywa Brückner — jeżeli chodzi o jej motywy. Bo co właściwie skłoniło Łaskiego do takiego czynu? Utrata wolności osobistej? — Wykluczone! Jeżeli nie uląkł się jej Stanisław Orzechowski, mniej groziła ona członkowi możnego rodu Łaskich, lubo poważnie skompromitowanego sprawą węgierską. Pozostaje więc tylko powód materialny, o którym mówi Völker. Otóż kapituła i arcybiskup, przyjmując oświadczenie Łaskiego, wrócili mu dawne jego beneficja kościelne(!) O małżeństwie zaś — jak się już rzekło — ani przed Gamratem, a i przed kapitułą nie było najmniejszej wzmianki. Z zarzutu herezji oczyścił się Łaski przysięgą, a małżeństwo jego przemilczano, jako fakt kompromitujący Kościół.

Nie była to więc ani „komedia", ani „krzywoprzysięstwo". Małżeństwo księdza nie oznaczało jeszcze zerwania z Kościołem. (Przykładem jest S. Orzechowski, żonaty ksiądz, który swymi polemikami wiele krwi napsuł protestantom, ku zadowoleniu Kościoła). W chwili podpisywania aktu oczyszczającego żonaty rzymsko-katolicki ksiądz Jan Łaski był tylko humanistą pokroju Erazma z Rotterdamu, choć już ulegał wpływom „Braci wspólnego życia". Bezpośrednią przyczyną przyjazdu do kraju był „frater amantissimus" Jarosz, jak go przed laty nazwał Jan Łaski w swym liście z Bolonii do stryja arcybiskupa. (H. Dalton „Lasciana", 87). Przy okazji, uciekł się Łaski do sposobu odzyskania utraconych dochodów kościelnych.

Decydujący zwrot w jego życiu nastąpił dopiero gdzieś latem 1542 roku, już po powrocie do Emden, gdzie był osiadł po opuszczeniu Lowanium. (Ed. Bursche „Decydujący zwrot w życiu Jana Łaskiego", Warszawa, 1933). Po powrocie do tegoż Emden, dokonuje się w Łaskim przemiana: oficjalnie zrywa z Kościołem i sam zrzeka się beneficjów kościelnych, przywróconych mu po przysiędze krakowskiej.

II. ORGANIZATOR KOŚCIOŁA

Pierwsze oznaki Reformacji pojawiają się we Fryzji Wschodniej już w 1523 roku, lecz konfiskatę dóbr kościelnych, usuwanie mszy itp. zaczęto przeprowadzać dopiero od wiosny 1528 roku. Zrazu ideowe oblicze ruchu reformacyjnego ustala Wittenberga, a dopiero później Genewa. W myśl wskazań tych ośrodków, usuwano z kościołów fryzyjskich ołtarze, obrazy i świece, nadając im charakter reformowany, jako miejsc zgromadzeń religijnych, których punktem centralnym jest kazanie.

Fryzowie do strony obrzędowej nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi i prostota nabożeństw reformowanych wystarczała im. Trzymali się prostej nauki, wykazując w sprawach wiary i zwyczajów kościelnych wiele wyrozumiałości i tolerancji. Z dawien dawna przyzwyczaili się do samorządu kościelnego, toteż sami wybierali sobie duchownych. Przez dłuższy czas nie mogli się pogodzić z celibatem, a w swych parafiach woleli widzieć żonatych księży. Jednak ich stosunki kościelne i religijne były dość powikłane, a wewnętrzne urządzenie Kościoła wymagało dużego wkładu pracy dobrego organizatora o silnej indywidualności.

Regentka Fryzji Wschodniej, hrabina Anna Oldenburska, oraz najznakomitsi mieszczanie Emdenu takiego właśnie organizatora Kościoła widzieli w osobie Jana Łaskiego. Na skutek nalegań hrabiny i mieszczaństwa, Łaski wreszcie decyduje się przyjąć dozór, eforat nad Kościołem Fryzji. Kościół ten, który — dzięki Łaskiemu — otrzymał ustrój wyraźnie prezbiterialny, stał się później wzorem dla Kościołów ewang. — reformowanych w Holandii i Niemczech, podobnie jak Genewa stała się wzorem dla Kościołów ewang.-reformowanych we Francji i Anglii. Łaski wyzyskał po prostu rodzimą tradycję fryzyjską wyboru proboszczów, ale — zgodnie z Pismem św. i wskazaniami pism Kalwina — dodał duszpasterzom do współpracy kościelnej po kilku laików — prezbiterów, którzy mieli czuwać nad moralnością współparafian i — wraz z duchownymi — tworzyć radę kościelną.

Łaski powołał nadto do życia konferencję duchownych, tzw. Coetus, który odbywał się regularnie w każdy poniedziałek, od Wielkanocy do św. Michała. Na tej konferencji omawiano prowadzenie się duchownych (census morum), egzaminowano kandydatów do stanu duchownego oraz dyskutowano nad aktualnymi problemami teologicznymi i kościelnymi. Porządek obrad podawano uczestnikom kilka dni przed zebraniem. Z tych to właśnie zebrań, które w historii ustroju i organizacji Kościoła ewang.-reform. odegrały wielką rolę, wyłoniły się z czasem synody.

Kształtując nabożeństwo, Łaski opierał się jedynie na Piśmie św., nawiązując do prostoty Kościoła apostolskiego. Komunia św. była udzielana na sposób kalwiński, tylko cztery razy do roku, przy czym wierni przyjmowali ją siedząc i podając sobie chleb i kielich z rąk do rąk. Chrzest i ślub odbywał się w ramach ogólnego nabożeństwa, w obecności całego zbo-

ru. Łaski nie podzielał luterskiej nauki o Wieczerzy św., skłaniając się raczej ku szwajcarskiemu pojmowaniu, acz nie przywiązywał do tego tak wielkiej wagi, jak jego współcześni. Gotów był żyć w zgodzie z każdym i w każdym widzieć brata w Chrystusie, kto odrzucał katolicką transsubstancjację i uznawał w Wieczerzy Pańskiej społeczność ciała i krwi Chrystusowej. Podobnie jak — sto lat później — wielki „nauczyciel narodów", Jan Amos Komeński, Łaski już wtedy był ożywiony duchem irenizmu i ekumenizmu, daleko pod tym względem wyprzedzając swoje pokolenie.

Pod innym jeszcze względem ten wielki Polak przypomina wielkiego Czecha. Oto Łaski zwrócił szczególną uwagę na religijne wychowanie dzieci i młodzieży. Wprowadził on też, bodaj pierwszy w Europie, rodzaj przymusu szkolnego. — W roku 1545, Anna Oldenburska — przy udziale Łaskiego — wydaje dekret o organizacji szkolnictwa, w którym nakazuje gminom i parafiom utrzymywanie szkół elementarnych i doglądanie, by wszystkie dzieci od 5—6 roku życia uczęszczały do szkoły. Zdolne dzieci mają być posyłane do szkoły łacińskiej, do której rozwoju w niemałej mierze również przyczynił się Łaski.

Z inicjatywy Łaskiego i pod jego kierunkiem, grono duchownych przystąpiło do opracowania nowego katechizmu, gdyż podręczniki dotychczas używane we Fryzji, nie wyłączając nawet katechizmu Kalwina, nie odpowiadały miejscowym potrzebom. Jako wzór, służył — oczywiście — katechizm genewski oraz katechizm zuryski Leona Judae. Katechizm opracowano w roku 1549. Duchowni byli obowiązani przerobić katechizm z młodzieżą dwa razy w ciągu roku, a nadto używać go podczas nabożeństw popołudniowych dla dorosłych. Emdeński katechizm Łaskiego, który stał się jednym ze wzorów dla katechizmu heidelberskiego, był używany we Fryzji aż do roku 1888.

Łaski wykazywał dużo praktycznego zmysłu w sprawach codziennych: on to zorganizował opiekę nad ubogimi. W lutym zaś 1545 roku został wydany dekret, na mocy którego władze miały zwalczać wszelkie objawy zła społecznego: obżarstwo, opilstwo, lichwę, fałszowanie towarów i luksus. Wypowiedziano też nieubłagalną walkę bluźnierstwu, oszustwu, potwarzom i zakłócaniu dnia świątecznego. Podobnie jak taboryci, Bracia Czescy i Kalwin — Łaski w sprawach zwalczania zła był nieubłagalny, aczkolwiek tym rygoryzmem przysparzał sobie wielu nieprzyjaciół. Na zarzuty, stawiane mu z racji jego zbytniej surowości, odpowiadał: „Naszym obowiązkiem jest jedynie, jak słyszę, kazać. Na to odpowiadam, że w żadnym wypadku nie jesteśmy obowiązani kazać świniom".

Łaski nie dorównywał wielkim reformatorom ani siłą porywającą słowa, ani bystrością argumentowania, czy głębokością wiedzy, ale jego zdolności organizacyjne, powaga, spokój, oględność, niewzruszalność przekonań i otwartość zjednały mu sympatię nie tylko we Fryzji, lecz i poza jej granicami, gdzie imię Łaskiego stało się głośne. Ustrojowo-organizacyjną pracą Łaskiego interesował się cały ówczesny świat protestancki: Emden uważano za Genewę północy, a Łaskiego za reformatora.

Sława zdobiąca Łaskiego spowodowała, że prymas angielski, Tomasz Cranmer, bodaj czy nie na wniosek słynnego kaznodziei ludowego, Hugha Latimera (1480—1555), zaprosił Łaskiego do Anglii i tak długo ponawiał swe prośby, aż Łaski — za zezwoleniem hrabiny — w sierpniu 1548 roku wyruszył do Londynu. Przebywał tam osiem miesięcy, a działalność jego była tak owocna, że Anglicy usilnie prosili go o powtórny przyjazd. W maju 1550 roku Łaski znowu jest w Anglii, tym razem jako superintendent zborów cudzoziemskich w Londynie. Zaproszenie do Anglii przyjął chętnie, tym bardziej, że interim z roku 1548, które i nad Fryzję rozciągnięto, nie dawało mu potrzebnej swobody działania.

Również w Anglii zabiera się Łaski raźno do pracy, aczkolwiek znalazł się w zgoła innych warunkach, niż we Fryzji. — W łonie Kościoła anglikańskiego istniały samodzielne i autonomiczne zbory protestantów, zbiegłych do Anglii z Francji, Niemiec, Holandii i Włoch. Zbory te składały się z różnorodnego żywiołu, i to różnorodnego nie tylko pod względem narodowym, ale również społecznym i religijnym. Aby tym zróżnicowanym zborom nadać jednolity charakter, Łaski opracował wyznanie wiary (Confessio Londinesis, 1551), w formie małej rozprawy teologiczno-dogmatycznej, omawiającej zasady nauki, nie poruszając natomiast sprawy sakramentów. Każdy cudzoziemiec, przystępujący do zboru, musiał to wyznanie podpisać (podobnie jak odbywało się to w Genewie), a ponadto musiał poddać się egzaminowi ze znajomości zasad wiary.

Organizację kościelną, karność, rytuał itp. wyłożył Łaski w swym najobszerniejszym dziele — „Forma ac ratio tota" („Kształt i sposób całkowity służby kościelnej w Kościele cudzoziemskim, ustanowionym w Londynie"). Książka wydana była we Frankfurcie nad Menem, a zadedykowana królowi Zygmuntowi Augustowi. Główna uwaga została położona na karności, której wszyscy w zborze podlegali bez wyjątku, dalej na przyciąganiu elementów świeckich do zarządzania sprawami kościelnymi wspólnie z osobami duchownymi, poza tym książka traktowała o organizacji jałmużny, zbieranej przez diakonów. „Kształt" przewidywał aż trzy urzędy kościelne: duchownych, prezbiterów i diakonów. Na urząd kaznodziejski mogli być powoływani tylko ludzie z wyższym wykształceniem, pobożni i nieskazitelni. Ordynacja duchownych była na gruncie londyńskim bardziej uroczysta, niż to praktykowano w Genewie.

Duchowni i prezbiterzy tworzą tzw. magistratus, radę zborową, i są wybierani dożywotnio, diakoni zaś tylko na jeden rok. Na gruncie londyńskim wprowadził również Łaski zgromadzenia reprezentantów władz kościelnych poszczególnych parafii, które obradowały nad wszystkimi sprawami kościelnymi. Był to więc ustrój prezbiterialno-synodalny, który z biegiem czasu został przyjęty przez wszystkie narodowe Kościoły ewang.-reform. Przy tym systemie parafianie na bieg spraw kościelnych mają wpływ tylko pośredni, co prawda większy niż w Genewie, lecz decyduje właściwa rada i coetus.

Łaski — w odróżnieniu od Lutra, a nawet Zwingliusza i Kalwina — próbował stanąć na gruncie rozdziału Kościoła i państwa, lecz ani we Fryzji ani w Anglii nie osiągnął tego.

Życie parafian w Anglii ujął Łaski — podobnie jak i we Fryzji — w karby surowej dyscypliny. Podczas nabożeństw duchowni nie noszą specjalnych szat, a w kościele nie ma ołtarza, organów i świec. Wierni odmawiają modlitwy klęcząc. Kobiety i mężczyźni siedzą oddzielnie. Istotną podstawą nabożeństwa jest godzinne kazanie, a właściwie wykład księgi Pisma św., śpiew psalmów, odmawianie dziesięciorga przykazań i modlitwy Pańskiej. Wieczerza św. odbywa się co miesiąc, z zachowaniem najsurowszej prostoty. Przy Wieczerzy św. wierni siedzą przy stole podając sobie z ręki do ręki chleb i kielich. Duchowny przystępuje do komunii razem ze zborownikami. Chrzest św. i obrzęd ślubu odbywają się w obecności całego zboru, w ramach wspólnego nabożeństwa. Pogrzeby odprawiane są bez jakichkolwiek okazałości.

Te londyńskie pomysły ustrojowe nie były całkowicie oryginalne, ale Łaski — przyjmując wzory genewskie — nie trzymał się ich niewolniczo. W wielu zaś sprawach całkowicie od nich odbiegał, wykazując dużo samodzielności i zmysłu organizacyjnego. „Forma ac ratio" stała się wzorem organizacji życia zborowo-kościelnego dla wielu Kościołów reformowanych. Cechuje ją nadzwyczajna prostota. Zasadniczym środkiem wychowania duszpasterskiego jest kazanie, sprawowanie sakramentów i dyscyplina kościelna. Nie jest to organizacja ściśle kalwińska, aczkolwiek w niejednym opiera się na wzorach genewskich.

Szczególną opieką duchowną otoczył Łaski dzieci i młodzież. Dla dzieci od 5—6 roku życia wprowadził naukę religii według „małego" katechizmu, dla młodzieży od 11 roku życia — według katechizmu „dużego". Katechizacja odbywała się w kościele, po nabożeństwach popołudniowych, a dwa razy do roku był publiczny egzamin. Zakończeniem nauki była konfirmacja, którą zaprowadził Łaski na gruncie angielskim prawdopodobnie za przykładem Marcina Bucera ze Strassburga, ten zaś przyjął ją od K. Schwenckfelda.

Dla młodzieży konfirmowanej i dla dorosłych członków zboru Łaski zaprowadził tzw. „prorokowanie": po kazaniu niedzielnym i po kazaniach odprawianych w ciągu tygodnia, wierni wypowiadali swoje wątpliwości na specjalnym zebraniu, duchowni zaś i starsi udzielali im odpowiedzi, wyjaśnień i pouczeń. — Tak było w zborze niemieckim, w zborze zaś francuskim „prorokowanie" odbywało się co środę i polegało na komentowaniu przez duchownego całych ksiąg biblijnych, przy czym wierni zabierali głos w dyskusji. Były to więc typowe „godziny biblijne", jakie i dziś znamy.

Wpływ Łaskiego na religijne sprawy kościelne w Anglii był wielki, a nawet do dziś jeszcze się nie zatarł. Jemu to należy przypisać, że nauka Kościoła anglikańskiego o sakramencie Wieczerzy św. jest zbliżona do kalwińskiej, a nie do luterskiej. Nawet radykalniejszy odłam Kościoła anglikańskiego, tzw. monkonformiści, independenci czy purytanie poszli drogami, wytkniętymi przez Łaskiego. Nawet szkocki Kościół skłonił się w kierunku prezbiteriańskim, odrzucając bogactwo obrzędów i szat, jakie Kościół anglikański odziedziczył od rzymskiego.

(c. d. w następnym numerze)

K. O. KRENZ

Szermierze pokoju

„Dążmy więc do tego, co służy ku pokojowi i ku wzajemnemu zbudowaniu" (Rzym. 14, 19).

Świat jest pełen niezgody i niepokoju. Pomimo że narody pragną pokoju, bezpieczeństwa i współpracy w duchu przyjaźni i wzajemnego poszanowania, pomimo że szczególnie nasz naród i sąsiednie narody słowiańskie umiłowały pokój ze wszystkimi ludźmi, pomimo wreszcie ciągłych rozmów i manifestacji na rzecz powszechnego pokoju — nie jesteśmy jeszcze bliscy urzeczywistnienia tego ideału. Rzeczywistość poucza nas, że ci, którzy boją się grożącej powszechną zagładą wojny atomowej, najgorętszej, jaką można sobie wyobrazić, uprawiają „zimną wojnę" i utrzymują ludzkość w stanie niepewności i niepokoju.

Ludy i ludzkość tęsknią do „tysiącletniego pokoju" — a żyją w obawie nowej wojny. Czy to bolesne zagadnienie znajdzie kiedykolwiek zadowalające i trwałe rozwiązanie?

Dla chrześcijan jedno jest pewne: pokój między narodami poprzedzić musi pokój między jednostką a Bogiem. Pokój zewnętrzny, światowy, powszechny zależny jest od pokoju wewnętrznego, osobistego, indywidualnego, od „ładu serca". Póki w głębi mej duszy nie zapanuje pokój Boży, czyli pojednanie z Bogiem przez Jezusa Chrystusa, póki nie ukrzyżuję własnego samolubnego, pysznego, obłudnego „ja" — nie stanę się zwiastunem i krzewicielem prawdziwego, chrześcijańskiego, pokoju nie będę zdolny dążyć do tego, „co służy ku wzajemnemu zbudowaniu".

Póki Bóg nie usunie z mego serca wszelkiej niechęci, nieżyczliwości, animozji, antypatii, goryczy i nienawiści do bliźnich, do członków mojego czy innego narodu, nie potrafię innym przebaczać, zapominać, działać i postę-

pować w duchu pojednawczym i miłosiernym Tego, który jest „pokojem naszym" (Efez. 2, 14).

Tak oto dla nas chrześcijan droga do ogólnego pokoju prowadzi zawsze poprzez pokój Chrystusowy, którego doznaje jednostka w swojej wierze. Potwierdzają to wszyscy wielcy i mali szermierze pokoju chrześcijańskiego. Prostymi słowami wyraził to już średniowieczny Tomasz a Kempis w swojej nieprzestarzałej księdze „O naśladowaniu Chrystusa".

„Naprzód sam siebie zachowaj w pokoju, a wtedy będziesz mógł drugich uspokajać. Człowiek namiętny nawet i dobre na złe tłumaczy, a złemu łatwiej wierzy. Kto stale trwa w pokoju, ten nikogo nie posądza; kto zaś jest niespokojny i na swoim nie poprzestaje, ten rozmaite miewa podejrzenia; wskutek tego ani sam nie zna pokoju, ani też drugim spocząć nie pozwoli.

Patrz, jak ci jeszcze daleko do owej prawdziwej miłości i pokory, która na nikogo nie umie się gniewać ani obruszać, jak tylko na siebie...

Jedni i sami trwają w pokoju, i z drugimi pokój zachowują. Inni i sami nie mają pokoju, i drugim go nie dają. Tacy są wielkim ciężarem dla drugich, a jeszcze większym dla siebie samych. Inni na koniec i sami trwają w pokoju, i drugim pokój przywrócić usiłują".

Wśród niezmordowanych i nieustraszonych szermierzy pokoju wymieniamy tu przede wszystkim najsławniejszego uczonego, chrześcijanina czynu — Alberta Schweitzera. Pomimo swego sędziwego wieku (14 stycznia br. kończy 85 lat) nie ustaje w swojej pracy kulturalnej niesienia pomocy fizycznej i duchowej swoim czarnym braciom w Afryce podzwrotnikowej.

Prócz tego ciągle wysyła w świat odezwy i przestrogi w sprawie stosowania prób nuklearnych, powszechnego rozbrojenia i trwałego pokoju.

Ostatnio prof. dr Albert Schweitzer, zaszczycony już niejednokrotnie honorowym doktoratem, przyjął honorowe członkostwo „Wspólnoty naukowców niemieckich celem obrony wolnego badania". Niepodobna tu wymienić wszystkich naukowych i kulturalnych zrzeszeń, z którymi Schweitzer współpracuje jako głosiciel pokoju.

Całe życie Schweitzera znamionują myśli i czyny wypływające z miłości, z dążenia do pojednania i pokoju. Już jako młody kaznodzieja w Strassburgu mówi np. w nauce religii do swego konfirmanda: „Gdy czujesz niepokój w sercu, szukaj najpierw wewnętrznego pokoju! Jest dla nas tylko jeden środek, żeby religia i życie stały się w nas jedno!" A gdy później każe swoim czarnym nad równikiem, mówi: „Staram się obudzić w sercach tęsknotę za pokojem z Bogiem.

Kiedy mówię o różnicy między sercem pozbawionym pokoju a sercem pełnym pokoju, wtedy najdziksi spośród dzikich wiedzą, co mam na myśli. A gdy im opisuję Jezusa jako tego, który niesie pokój sercu ludzkiemu, rozumieją Go!". — Myślą o pokoju i pojednaniu tchnął także następujące słowa Schweitzera: „Niechaj dzieci obu konfesji zrozumieją się i dojdą do poznania, że pobożność serca jest chrześcijaństwem w duchu Jezusa!

Nawet swoją grą organową, poświęconą zwłaszcza muzyce swego umiłowanego Jana Sebastiana Bacha, Schweitzer głosi, że „z świata niepokoju wstępujemy w świat pokoju". — Owiany duchem pokoju, chciałby ze swej strony dopomóc ludzkości do wyzwolenia jej ze światowego lęku i strachu. Do ludzkości woła: „Musimy być godni wzajemnego zaufania! Musimy się wznieść do humanitarnego sposobu myślenia...

Wszędzie, gdzie jest idea współczucia i miłości, powstaje humanitarny sposób myślenia". Po drugiej wojnie światowej oświadcza pewnemu rozmówcy: „A jednak pozostaję optymistą. Jako nieutraconą wiarę dziecięcą zachowałem sobie wiarę w prawdę. Ufam, że pochodzący z prawdy duch silniejszy jest od potęgi stosunków.

Według mego poglądu nie ma dla ludzkości innego przeznaczenia oprócz tego, które sama sobie gotuje swoim sposobem myślenia. Dlatego nie sądzę, że musi ona pójść drogą upadku aż do końca.

Ponieważ ufam mocy mądrości i ducha, wierzę w przyszłość ludzkości". Schweitzer wierzy w ostateczne zwycięstwo dobra, prawdy, szlachetności i wolności na ziemi. Są to boskie moce, dlatego nie mogą zginąć. Czyż dzieło jego życia nie jest jednym wielkim aktem humanitarnym, czynem miłości, pojednania, pokoju? Jeżeli ktokolwiek, to właśnie on zasłużył w zupełności na przyznaną mu w r. 1953 Pokojową Nagrodę Nobla.

Gdy pokój Boży owładnie sercami i sumieniami wielu podobnych jednostek wśród narodów, wtedy w nowym roku uczynimy poważny krok naprzód ku urzeczywistnieniu powszechnego pokoju.

KS. DR KAROL KOTULA

Język polski w nauczaniu i nabożeństwie dla ludności ewangelickiej w Prusach

Uwagi o książce dra Ryszarda Kommela pt. „Die Muttersprache in der kirchlichen Verkündigung. — Die kirchliche Versorgung der polnisch sprechenden ewangelischen Gemeinden in Preussen in den letzten hundert Jahren". („Język macierzysty w kościelnym zwiastowaniu — Obsługa kościelna mówiących po polsku zborów ewangelickich w Prusach w ostatnich stu latach").

Niedawno — w roku 1959 — ukazała się w Niemczech, nakładem Luther-Verlag-Vitten, książka zmarłego w roku 1957 dra Ryszarda Kommela, byłego radcy Konsystorza Kościoła Unijnego w Poznaniu, omawiająca obszernie sprawę języka polskiego w nauczaniu i nabożeństwach w Prusach. Ogólny tytuł — „Język macierzysty w kościelnym zwiastowaniu" nie odpowiada treści książki, bo po takim tytule należałoby oczekiwać ogólnej rozprawy na temat używania języka macierzystego w pracy kościelnej, tego w książce tej nie ma. Natomiast znajdujemy w książce tej to, co zapowiada podtytuł, tzn. omówienie językowych stosunków w Kościele, a częściowo i w szkole w Prusach, szczególnie w odniesieniu do polskiej ludności ewangelickiej.

Książka ma charakter wyraźnie tendencyjny. Celem jej jest obrona pruskich władz państwowych, szczególnie zaś kościelnych, przed zarzutem germanizacji polskiej ludności ewangelickiej. Dlatego dużo miejsca poświęca ona polemice, w odniesieniu do Wielkopolski i Śląska Średniego, polemice z moim artykułem w „Strażnicy Zachodniej" (rocznik VI, tom X, 1927) pt. „Z dziejów germanizacji polskich szkół ewangelickich w b. prowincji poznańskiej i przyłączonych do Polski gminach Śląska Średniego" oraz z moją książeczką: „Polski lud ewangelicki w południowo-wschodniej części województwa poznańskiego. Warszawa 1929"; w odniesieniu zaś do Śląska, jest to polemika z pracą prof. Wysloucha pt. „Polacy-ewangelicy na Dolnym Śląsku w XIX w., ich postawa narodowo-społeczna" (Poznań — Wrocław 1951), a w odniesieniu do Prus Wschodnich — z artykułem Władysława Chojnackiego w XII roczniku nr 45—50 „Reformacji w Polsce" pt. „Zbory polsko-ewangelickie w b. Prusach Wschodnich w XVI—XX w.".

Autor włożył w książkę bardzo dużo pracy, nagromadził sporo materiału, przedstawiającego stanowisko władz państwowych i kościelnych oraz poszczególnych duchownych w sprawie języka polskiego w szkole i Kościele. Jest to niewątpliwie cenny dorobek naukowy w tej dziedzinie i pożyteczne naświetlenie zagadnienia z drugiej strony przez dokumentaryczne przedstawienie stanu sprawy i wykazanie między innymi w wielu wypadkach dobrej woli i najlepszych intencji różnych osobistości i władz, zwłaszcza kościelnych, w rodzaju rozporządzenia językowego z 13.IX.1822: „Religia i język są najwyższymi świętościami narodu. Zwierzchność, która je uznaje szanuje i ceni, może być pewna, że pozyska serca poddanych. Lecz która je traktuje obojętnie, albo sobie pozwala na ich zwalczanie, wywołuje rozgoryczenie i pozbawia naród godności i wychowuje sobie niewiernych lub złych poddanych" (str. 36).

Jako punkt wyjścia dla swojej pracy, przyjmuje autor rok 1850, tj. rok powstania Ewangelickiej Naczelnej Rady Kościoła, ponieważ w ten sposób powstała jednolita władza kościelna, regulująca wszystkie sprawy, i ponieważ akta jej były autorowi dostępne, podczas gdy akta niektórych konsystorów albo zaginęły, albo też przejrzenie ich było dla niego niemożliwe. Tak więc praca obejmuje ostatnie sto lat, w tym wszystkie krainy należące do Prus, gdzie zagadnienie to było aktualne, nawet westfalski i nadreński okręg przemysłowy.

Niestety, stanowisko autora jest w zasadzie jednostronne, choć w szczegółach jest nieraz obiektywny i sprawiedliwy. Trudno w ramach krótkiego artykułu rozprawiać się ze wszystkimi wyrazami stronniczości tego tak obszernego dzieła, dlatego ograniczę się do zasadniczych jego założeń.

Pierwszym niesłusznym i niesprawiedliwym założeniem autora jest odmawianie polskiemu ewangelickiemu ludowi polskiej narodowości. Swoje stanowisko uzasadnia tym że lud ten nie miał świadomości narodowej, nie posiadał własnej inteligencji, że był wierny państwu pruskiemu i dynastii, ignął do niemieckości, że pochodzenie jego było niepewne — częściowo słowiańskie, częściowo niemieckie — że z narodem polskim nic go nie łączyło, oprócz mowy.

Wbrew temu wszystkiemu, należy stwierdzić, że był to lud polski — tak ewangelicy —

Polacy na Śląsku i w Wielkopolsce, jak Mazurzy w Prusach Wschodnich. Przyznawały to inne czynniki, państwowe i kościelne, które lud ten nazywały wyraźnie Polakami, nawet „narodowymi Polakami" (Nationalpolen), (Ewang. Naczelna Rada Kościoła z 10.VII.1868) — (str. 160) — i w stosunku do ludności mazurskiej zaczęły, jak sam autor stwierdza (str. 173) dopiero od początków XX wieku używać nazwy „Mazurzy" zamiast „Polacy". O języku Mazurów mówi konsystorz westfalski (2.II.1935), że „mowa mazurska jest, jak wiadomo, wstrzymanym w rozwoju, nie rozwiniętym do języka piśmiennego, dialektem języka polskiego" (str. 206). Tymczasem autor oświadcza zaraz na wstępie, że może mówić nie o Polakach, lecz tylko o „mówiących po polsku ewangelikach" (str. 11).

Nie jest prawdą twierdzenie autora, że lud ten miał z Polakami tylko jedno wspólne, tj. mowę (str. 11). Owszem, lud ten miał polską duszę, polski charakter, wspólne z polskim narodem zwyczaje, ludowe pieśni, nazwy, w ogóle to wszystko, co należy do pojęcia narodowości. Autor jest pod tym względem w sprzeczności z sobą samym, przytaczając skwapliwie wyjątek z charakterystyki Mazurów przez Oldenberga, gdzie tenże, wymieniając najgorsze ich wady i przywary, mówi, że w ten sposób dowodzą oni, że „w ich żyłach płynie polska krew" (str. 138). Obiektywny jest natomiast autor, stwierdzając, że mowa polskiego ludu ewangelickiego na Śląsku i w Wielkopolsce jest dialektem języka polskiego różniącym się od niego nawet mniej, niż niektóre niemieckie, śląskie dialekty od piśmiennego języka niemieckiego" (str. 12).

Szermując bardzo często argumentem, że lud ten nie przyznaje się do narodu polskiego, że nie ma świadomości narodowej, nie posiada własnej inteligencji, czyli ludzi wykształconych — zapomina autor o tym, że przecież państwo pruskie nie uczyniło nic, żeby temu ludowi dopomóc do narodowego uświadomienia, że — owszem — bano się tego, jak ognia, i czyniono wszystko, aby do tego nie dopuścić. Wszelkie próby, podejmowane dla narodowego uświadomienia ludu, tępiono bez miłosierdzia wszystkimi możliwymi sposobami, o czym świadczą losy wydawanych przez ks. Jerzego Badurę w Międzyborzu „Nowin Śląskich" i różnych pism w duchu polskim na Mazurach jak „Gazeta Ludowa" wydawana przez braci Bahrke.

Brak świadomości narodowej i przywiązanie do państwa pruskiego nie mogą być decydującym czynnikiem w określeniu narodowości ludu. Wtedy bowiem należałoby niejednemu ludowi europejskiemu, jeszcze w połowie wieku XIX, a nawet później, odmówić narodowości. Np. lud słoweński w Karyntii i Krainie, bardzo przywiązany do Austrii i Habsburgów, i bijący się za Austrię w niejednej wojnie — byłby narodem austriackim, a nie słoweńskim.

Autor posługuje się tu metodą, stosowaną często przez propagandę niemiecką w stosunku do narodu polskiego, mianowicie, że na miejsce narodu polskiego tworzyło się różne inne narodowości, jak: Mazurów, Kaszubów, Schlonsaków, a ostatnio nawet — w czasie okupacji — „Gorallenvolku", motywując to ich rzekomym, niepewnym pochodzeniem. Czas chyba najwyższy, ażeby te metody odłożyć do lamusa!

Drugim niesłusznym i zupełnie jednostronnym założeniem autora jest twierdzenie, że celowej i świadomej germanizacji w ogóle nie było: ani ze strony władz państwowych, ani ze strony czynników kościelnych — i że niemczenie (Emdeutschung) dokonywało się powoli samo przez się, na skutek otoczenia i warunków, i że wszelkie ograniczenia językowe występowały dopiero wtedy, gdy już język polski nie był potrzebny. Dlatego protestuje autor przeciw nazywaniu tego rzekomo naturalnego procesu przechodzenia polskiej ludności od języka polskiego do niemieckiego „niemczeniem, germanizowaniem, asymilacją" (str. 13), albo „przymusową germanizacją tylko z politycznych względów" (str. 87). W odniesieniu do Prus Wschodnich mówi, że „można tylko stwierdzić, że i w Prusach Wschodnich ograniczenie polskich nabożeństw następowało po językowym zrównaniu" (Angleichung — str. 172). Kończy zaś pracę stwierdzeniem, że nabożeństwa polskie ustały za czasów narodowo-socjalistycznych same przez się, bez zarządzeń na piśmie w tej sprawie (str. 251).

Temu założeniu i twierdzeniom autora przeczą fakty, mianowicie cytowane przez niego zarządzenia władz państwowych. Już w roku 1809 wyszło z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z Sekcji Wyznań, zarządzenie polecające zniesienie nabożeństw w języku polskim i wendyjskim — tam, gdzie nie są one koniecznie potrzebne, „ponieważ języki te są niewątpliwie wielką przeszkodą w wykształceniu ludu". (str. 33). Rozporządzenie rejencji wrocławskiej z 5.I.1832 wyraża życzenie, żeby język i zwyczaje niemieckie były więcej rozpowszechnione tam, gdzie jeszcze mówi się po polsku, i żeby nauka w szkołach odbywała się tylko w języku niemieckim (str. 117). Naczelny Prezydent Poznański pisze w poufnym piśmie do prezesa konsystorza w Poznaniu, Balana w dniu 1.IV.1905: „Zagadnienie pozyskania ewangelików — Polaków dla niemieckości jest politycznie bardzo doniosłe, zwłaszcza dlatego, że bez nich powiaty — odolanowski i ostrzeszowski — a w mniejszej mierze także kępiński — byłyby dla niemieckości na długi czas całkiem stracone", i zaleca, żeby oprócz szkoły i Kościół wziął w akcji tej udział (str. 80). Takich zarządzeń wymienia autor więcej, a ile było nie wymienionych?

Jak więc można wobec tego mówić, że germanizacja polskiej ludności ewangelickiej odbywała się bez czynnego udziału władz państwowych? Czy może państwo pruskie, jak pisze dr Kohte, nie germanizowało dlatego, że

było w połowie słowiańskim państwem? (str. 31). Co się tyczy władz kościelnych, to autor stwierdza, że więcej niż 100 lat od podziału Polski Kościół ewangelicki Prus odrzucał wszelkie zamiary germanizacji i że także do tego przez władze państwowe nie był przymuszany. A kiedy potem, po roku 1880, polityka państwowa się zmieniła, to czynniki kościelne starały się utrzymać swoje stanowisko (str. 78). Autor przytacza oświadczenie konsystorza w Poznaniu z 31.III.1856: ‚Germanizacja nie może nigdy być celem dążenia Kościoła ewangelickiego. On musi pragnąć, żeby Ewangelia była głoszona wszystkim narodom we wszystkich językach. Urok języka macierzystego jest w stosunku do narodu, którego świetność leży w przeszłości, zapewne mocnym środkiem, otwierającym serca dla słowa Bożego".

A jednak Konsystorz poznański motywuje wniosek swój z dnia 6.VIII.1889 o utworzenie stanowiska drugiego pastora w Odolanowie dla pastora mówiącego po polsku — tym, że powołanie jego przyczyni się do wzmocnienia niemczyzny przez jego działalność w katechizacjach, w godzinach biblijnych, stowarzyszeniach młodzieży, szczególnie przez wskazywanie „jak trudno będzie się kształtowało życie dla człowieka mówiącego tylko po polsku" (str. 78—79). Tenże Konsystorz polecił konferencji pastorów, pracujących w polskich zborach, następujący temat konferencyjny: „W jaki sposób można w naszych dwujęzycznych zborach zmniejszyć liczbę polskich nabożeństw". (Konferencja w Ostrowie 17.V.1906). (Str. 84). A Konsystorz w Moenster w Westfalii pisze 13.II.1912: „Jest już teraz jasne, że właśnie przez stosowaną dotychczas metodę osiąga się upragniony przez nas cel wchłonięcia (ludności polskiej ewangelickiej w westfalskim okręgu przemysłowym). Naturalnie nie należy tego celu proklamować jako zamiaru. Bo wtedy zamiar bywa zauważony i następuje zniechęcenie" (str. 204). Tego rodzaju wypowiedzi jest w książce sporo. Czy można tu mówić o szczerym i naprawdę życzliwym stosunku władz kościelnych do polskiej ludności ewangelickiej?

Autor omawia obszernie działalność księży, pracujących w polskich zborach ich konferencje i zabiegi o utrzymanie polskich nabożeństw i udoskonalenie opieki religijnej nad polskim ludem ewangelickim. Ale przez to wszystko prześwieca ciągle myśl, że to tylko jest do czasu, kiedy ludność ta przestanie mówić po polsku, a nawet często pragnienie, żeby to nastąpiło jak najprędzej. Stanowisko księży, przeważnie Niemców, nieraz źle po polsku mówiących, było raczej stanowiskiem więcej lub mniej dobrze pojmowanego obowiązku, a pracę w języku polskim traktowano jako zło konieczne, rzeczywistej miłości i współczucia było w tym wszystkim bardzo mało. Oczywiście, byli duchowni, nawet Niemcy, szczerze lud ten miłujący i ubolewający nad jego losem. (Fiedler z Międzyborza, Altmann z Odolanowa, Koelling z Byczyny, Jadmer z Droszek i Polacy: Badura, Świerczewski, Sękowski), ale byli i tacy, jak pastor Rudolf Mullee z powiatu kluczborskiego, który w piśmie do ministra wyznań z 1.VII.1901 pisze, że „germanizacja nie stanowi niebezpieczeństwa dla religijności. Nauczyciel, który nie mówi ani słowa po polsku, jest najlepszym germanizatorem" (co mu autor książki wytyka). W ogóle cała atmosfera, stosunki, otoczenie — wszystko to miało tendencje germanizacyjne.

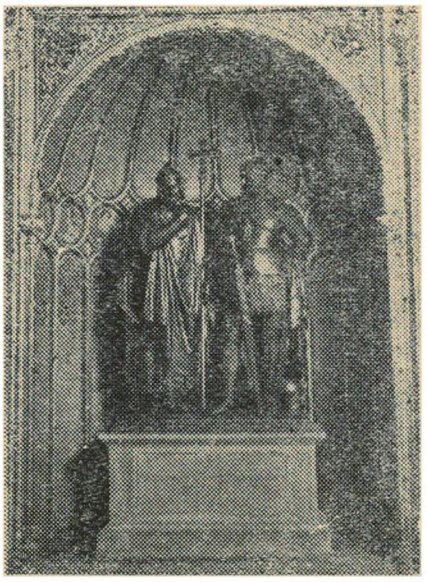

Pomnik Mieszka I i Bolesława Chrobrego w Katedrze Poznańskiej

Czy to wszystko działo się spokojnie, bez oporu ze strony ludności? — Bynajmniej nie. Autor przytacza słowa superintendenta Harhausena o zajściach w Latowicach i Strzyżewie — ciekawe, że właśnie w miejscowościach, które tylko w części były polskie — „co tak pastorom, jak superintendentowi przyczyniło wiele smutku" (str. 87). Były żale poszczególnych ewangelików, jak Mazura Jana Floriana z Gelsenkirchen, na niesprawiedliwość przy wyborach pastora i na pozbawianie nabożeństw polskich (str. 201—202), były niechęci, o czym wspomina radca Bock z Gąbina, że Mazur stał się „od czasu tzw. szału germanizacyjnego, podejrzliwy wobec wszystkiego, co się nazywa niemieckim" (rok 1906, str. 216). Było także przechodzenie do pozakościelnych organizacji religijnych i do sekt, szczególnie na Mazurach i na wychodźstwie. Ale ile tam było serdecznego żalu i bólu z powodu krzywd doznawanych ze strony państwa i kościoła, o tym historia milczy. Bo niech sobie nie myślą ci, co piszą, że wszystko działo się spokojnie, naturalnym biegiem rzeczy, że w tym ludzie nie było ludzi myślących i czujących. Owszem, byli zawsze, choć bezgłośni, w rodzaju tych, co pisywali do „Nowin Szląskich", jak Jan Kubica z Królewskiej Huty lub Tobiasz Sztulich ze Stacz na Mazurach i inni.

Jest zasługą autora że przedstawił pozytywną działalność władz kościelnych w sprawie

zapewnienia i utrzymania polskiemu ludowi w Prusach odpowiedniej opieki religijnej, w szczególności w dziedzinie zaopatrzenia go w odpowiednią literaturę religijną. Szkoda jednak, że autor nie poprzestał na obiektywnym przedstawieniu stanu sprawy, z jego dodatnimi i ujemnymi stronami, kształtującymi się według ówczesnych warunków historycznych i politycznych. Bo usprawiedliwienie tego, co się wobec danych faktów nie da usprawiedliwić, i wybielanie tego, co nigdy białe nie było, nie prowadzi do niczego. Przecież o germanizacji mówili i pisali nie tylko Polacy, ale i Niemcy, jak Wolfgang Beer, który jako środki germanizacyjne wymienia, oprócz szkoły, naukę konfirmacyjną, niemieckie nabożeństwa, rozdawanie niemieckich śpiewników itd., a superintendent Remus wyraża się — w sprawozdaniu z 23.XII.1864 ostro: „Od czasów Reformacji zaniedbali Niemcy w Prusach i Austrii właściwą językową obsługę religijną polskich ewangelików. Gdy nawet do Lapończyków wysyła się misjonarzy ze znajomością języka, to z jedenastu duchownych ostrzeszowskiego obwodu kościelnego ani jeden nie jest urodzonym Polakiem" (str. 225).

O jednostronności i stronniczości autora świadczy także wyraźnie niechętne odniesienie się do budzicieli świadomości narodowej wśród polskiej ludności ewangelickiej, ks. Biskupa dra Juliusza Burschego, ks. Franciszka Michejdy, ks. Karola Kulisza, a nawet ks. dra Leopolda Otto, na którego postać — przez stosunkowo bardzo obszerne przedstawienie sprawy jego powołania na Mazury — autor pragnie rzucić choć trochę cienia wobec całego polskiego ewangelicyzmu, spoglądającego na niego z uwielbieniem. Potwierdzeniem tej stronniczości jest zjadliwe zdanie o Polakach-ewangelikach w ogóle, że „byli w wielkiej części spolonizowanymi Niemcami, ale właśnie dlatego musieli zawsze na nowo udowadniać swoją narodowo-polską postawę i byli nieraz więcej szowinistami, niż ich katoliccy ziomkowie" (str. 12), i to wobec obozów koncentracyjnych i męczeńskiej śmierci wielu z nich.

Janusz Oksza

U kolebki państwowości polskiej

Ziemiami środkowo-wschodniej Europy władały plemiona słowiańskie. Plemiona te żyły w samodzielnych grupach. Łączył je tylko podobny język i religia.

Mimo tych niewątpliwie silnych więzów dopiero wpływy zewnętrzne (groźba utraty wolności, zagrożonej przez zorganizowanych napastników) zmuszały naszych praprzodków do łączenia się w większe grupy, które drogą pokojową, lub podbojami rozszerzały swoje wpływy na inne szczepy, tworząc zaczątki państw.

Posługując się takimi metodami, plemiona zamieszkujące dorzecze Warty, ciągle napastowane przez germańskich władców marchii wschodniej, zorganizowały się w pierwsze państewko Polan. Polanie szybko rozszerzyli swoje wpływy na sąsiednie ziemie i w X wieku doszli już do takiej siły, że w 963 r. zadali pierwszą klęskę dotąd nie zwyciężonym najeźdźcom. Jest to pierwsza data, świadcząca o istnieniu silnego państwa.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że zorganizowanie rozproszonych plemion w jedno państwo nie mogło być dokonane w ciągu 5, czy 10 lat, łatwo wysnuć wniosek, że co najmniej w początkach X wieku Polska już istniała.

Zachodzi więc pytanie, dlaczego dopiero rok 966 uważany jest za początek państwowości polskiej.

Decydującym momentem, który wprowadził Polskę w poczet narodów europejskich, stało się przyjęcie przez nią chrześcijaństwa, co w ówcześnie panujących stosunkach było warunkiem niezbędnym do uznania nowego państwa przez papieża oraz przez inne cywilizowane kraje.

Tak więc nie tylko zjednoczenie plemion polańskich przez pierwszych Piastów, ale także związek Mieszka I z chrześcijańską księżniczką czeską Dąbrówką i chrzest Polski w 966 roku oraz zjazd w Gnieźnie w roku 1000, który dał naszemu narodowi niezależność religijną od Niemiec stały się kamieniami węgielnymi naszej państwowości.

Chrześcijaństwo wpłynęło na powstanie i późniejszy rozwój wszystkich dziedzin życia kulturalnego i narodowego. Wprawdzie rozwijało się ono powoli, ale wpływy i skutki zerwania z pogaństwem objawiły się już w XI wieku. Szybko rozwija się budownictwo i szkolnictwo, pisze się wprawdzie po łacinie, ale alfabet łaciński w kilka wieków później da podstawę do stworzenia literatury narodowej. Również rolnictwo i rzemiosło podnoszą się na wyższy poziom. Rewolucyjne zmiany wprowadza Kościół w psychice ludzkiej oraz w pojęciach etycznych i moralnych. Nieznany wśród Słowian kult cnoty i czystości wypiera dawne lekkie obyczaje i przesądy. Umacnia się pozycja kobiety

i rodziny jako nierozerwalnego związku.

Najbardziej zadziwiający jest fakt, że wśród Słowian, chociaż powoli, ale bez żadnych przeszkód wprowadzano chrześcijaństwo (bunt Masława był ruchem o charakterze społecznym i nie był skierowany przeciw Kościołowi). Stwierdzenie to może wydawać się paradoksalne, jednak pogaństwo Słowian przygotowało drogę ideom chrześcijańskim. Religia dawnych Słowian miała bowiem specjalny charakter i zasadniczo różniła się od religii greckiej, rzymskiej, czy też religii pierwotnych ludów germańskich.

Słowianie, podobnie do innych ludów, nie mogąc wyjaśnić zjawisk przyrody wierzyli, że kierują nimi ręce bogów. Jednak w pojmowaniu istoty tych bogów nasi przodkowie zasadniczo różnili się od Greków, lub Rzymian. Podczas gdy tamci nadają im postacie ludzi, tworzą hierarchie i szereg mitów, opisujących całkiem ludzkie tarapaty swych bóstw, Słowianie traktują swoich bogów jako wielkie i niepojęte moce. Nie narzucają im żadnych hierarchii, ani nie tworzą mitów.

Germanie na przykład wywodzą swych bohaterów i wodzów z bogów — nasi praojcowie są demokratami. Ich bohaterowie pochodzą z ludu, przez siły niebieskie są tylko powołani (np. podanie o Piaście). Słowianie budują, podobnie do innych pogan, świątynie, tworzą nawet posągi bożków, w dymie ofiary, wznoszącym się ku niebu widzą nić, łączącą ich z nieznanymi mocami, nawet w momentach bardzo krytycznych, nie wahają się na kamieniu ofiarnym zabić człowieka, w podmuchu wiatru, zapylającego kłosy zbóż, widzą tchnienie Pogwizda, w trzasku ognia, dającego ciepło i pokarm, dopatrują się mocy boga, pieszczotliwie zwanego Swarożycem, a w słońcu, dającym życie, światło i ciepło upatrują Dadźboga. Miłosierdzie i gościnność, nie spotykane gdzie indziej, wyróżnia Słowian spośród innych ludów. Bogowie byli dla Słowian jakimiś nadzmysłowymi istotami ktore nie dały się podciągnąć pod żadne ludzkie sposoby rozumowania i poznawania.

Oto opis modlitwy, przytoczonej przez podróżnika arabskiego z IX wieku, która jest jak gdyby intuicyjnie wygłoszonym fragmentem Modlitwy Pańskiej:

„Słowianie... są czcicielami ognia; uprawiają najwięcej proso; przy zbiorach (żniwie) wyrzucają z garnka proso na łyżkę, wznoszą ją ku niebu: „O Panie! Tyś jest, coś nam dał chleb powszedni, więc doprowadź to u nas do końca...".

Nasi przodkowie pojmowali swoje bóstwa bardziej duchowo i tym chyba należy tłumaczyć to, że gdy w 966 roku pierwsi misjonarze rąbali dęby ze świętych gajów, Słowianie przypatrywali się temu w milczeniu. To duchowe podejście do spraw wiary wyjaśnia też, że tam, gdzie lud przyjął idee reformacji, został im do dzisiaj wierny.

Ks. Otton Krenz

W 70-tą rocznicę urodzin

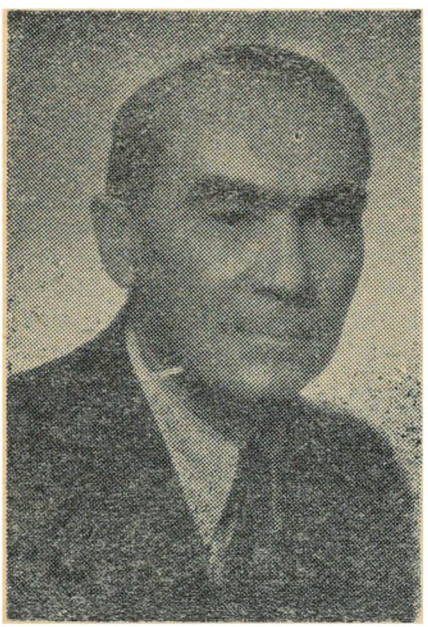

Z woli Boga każdy człowiek jest specyficznym Jego tworem. Odróżnia się od innych nie tylko swą postawą fizyczną i wyglądem, lecz także temperamentem i charakterem, od których całe dzieło życia w wysokim stopniu jest uzależnione. Zgodnie z tą zasadą w jednym i tym samym powołaniu znaleźć można osobistości zupełnie do siebie niepodobne. Odnosi się to oczywiście także do księży i duszpasterzy.

Mamy takich, o których wszędzie głośno. Gdziekolwiek by się nie znaleźli, wszędzie wyciskają swe piętno, a niekiedy narzucają swoje zdanie. Mamy też takich, którzy niezmordowanie pracują, są aktywni, twórczy, ale jakoś dziwnie nigdzie się nie wysuwają na pierwszy plan, bo to nie leży w ich charakterze. Gdy potrzeba coś opracować, przemyśleć, przeanalizować i powstaje pytanie, kto by to najlepiej zrobił, wtedy wyszukuje się właśnie tych ludzi i im powierza się wykonanie ciężkiej, mozolnej i odpowiedzialnej pracy.

Kto bliżej zna naszego drogiego Jubilata, ten wie, o kim myślę, bo do tych ostatnich należy niewątpliwie Ks. prefekt Otton Krenz, który 3 stycznia b.r. obchodził bez rozgłosu siedemdziesiątą rocznicę swoich urodzin. To właśnie on odznaczał się od najmłodszych lat taką cichością, pracowitością, obowiązkowością i powiedziałbym pewnego rodzaju pedanterią w pojmowaniu swoich obowiązków.

Urodzony 3 stycznia 1890 roku w Zduńskiej Woli, kończy w r. 1907 polską Szkołę Handlową Kupiectwa Łódzkiego odznaczony „najwyższą jaką

(Dokończenie na str. 17)

KS. RYSZARD TRENKLER

Rozważania o czasie i ludziach*)

Przeglądając pisma, książki, kazania ostatnich lat bardzo często można się natknąć na twierdzenie, że nigdy jeszcze nie było tak złych czasów, jak obecne. Poważne pisma kulturalne, filozoficzne i religijne na całym świecie stawiają tragiczne diagnozy i prognozy. Wtórują im jeszcze gorliwiej różne pomniejsze prowincjonalne periodyki, najczęściej o bardzo wątpliwym poziomie. One wszystkie jedną mają wspólną pasję: ratować współczesnego człowieka. Cywilizacja? Właściwie trzeba się jej wstydzić. Do czego ona człowieka doprowadza?

Te wszystkie wynalazki, ten cały postęp, to chyba dzieło szatana po to istniejące — powiadają, aby człowieka zgubić. Dawniej, to były czasy! Ludzie byli pobożni, moralni, jeden drugiemu był bratem, a dziś co? — Upadek obyczajów, ludzie żyją według zasady: człowiek człowiekowi wilkiem.

*

* *

OPTYMIZM CZY PESYMIZM?

U podłoża takiego osądu teraźniejszości leży duży ładunek romantyzmu, nieświadomości, niekiedy i wstecznictwa. Na przyszłość bowiem jak i na teraźniejszość trzeba patrzeć trzeźwo i bardzo ostrożnie ważyć różnego rodzaju zjawiska, aby móc wydać obiektywny sąd. Podejmuję się w pewnym względzie wziąć w obronę czasy obecne przed tymi, którzy nad nimi załamują ręce i wylewają codziennie kubły dezaprobaty i potępienia. Oczywiście zdaję sobie sprawę, iż ściągnę na siebie miano niepoprawnego optymisty, choć mnie się wydaje, że przy rozstrząsaniu takich spraw zarówno optymizm jak i pesymizm nie mają zastosowania.

Opowiadanie o „złotej, dobrej przeszłości" okaże się zwyczajną bajką dla grzecznych dzieci, z której zawodowi pesymiści po prostu żyją. Nie znaczy to, abyśmy oczy zamykali na te wszystkie straszliwe kataklizmy ostatnich dziesięcioleci, ale tylko człowiek nie obeznany z historią, może przeszłość oglądać w kolorach różowych a teraźniejszość w czarnych. Dokumenty historyczne mają wstrząsającą wymowę, czytamy tam o nieszczęściach, okrucieństwach i barbarzyństwie, które dziś, jeżeli są gdzieś praktykowane, to tylko w ukryciu, albowiem sprawcy ich wiedzą, że cała moralnie zdrowa ludzkość metody te najsurowiej potępia. A dawniej, nawet taka instytucja jak Kościół średniowieczny dopuszczała się jawnie zbrodni, osładzając je i przykrywając obłudnie rzekomo „świętymi" celami. Wyprawy przeciwko Waldensom i Albigensom, a nawet później już Noc św. Bartłomieja itp. są tego najlepszym dowodem. A działo się to w tym przez wielu niepoprawnych marzycieli wyidealizowanym średniowieczu, kiedy to wbijanie na pal, torturowanie, łamanie na kole było usankcjonowaną przez władzę świecką i kościelną formą śledztwa i to wobec ludzi i za „przewinienia", którymi sądy dzisiejsze już się w ogóle nie zajmują.

Powtarzam, nie oznacza to, abym chciał idealizować teraźniejszość a potępiać przeszłość. Wiem, że pszeszłość ma swoje jasne strony a teraźniejszość nie jest pozbawiona ciemnych. Jedno należy jednak bezstronnie przyznać, że **idea humanitaryzmu odnosi stałe zwycięstwa a etyka chrześcijańska** (nie ta średniowieczno-kościelna lecz ze swego źródła się wywodząca) **coraz głębiej w ludzkość się zakorzenia, mimo,** że Kościoły jako takie w Europie być może tracą na znaczeniu. Może jeszcze tu i tam następuje jaskrawe łamanie praw człowieka, ale ci którzy to czynią, wypierają się tego, wiedząc, że ujawnianie tych spraw wyklucza ich z rodziny cywilizowanych narodów.

Świat stał się niewątpliwie lepszy. Także i pod względem moralnym. Nie ma już dziś tego zakłamania i obłudy, jak dawniej. Dziewczyna, która urodziła pozamałżeńskie dziecko (takich w przeszłości też nie brakowało, ale powszechnie wiadomo, co z nimi robiono) nie jest już dziś wytykana palcami, a proboszcz nie może już publicznie po nazwisku jej piętnować bez narażania się na pośmiewisko, pogardę lub nawet karę.

Człowiek, który ciężko zaniemógł, nie potrzebuje dziś umierać dlatego, że należy do klasy „ubogich", lekarz bowiem przystępuje do operacji, nie interesując się, kto za nią zapłaci. Czy to naprawdę było tak pięknie, idealnie, gdy książę lub magnat był panem życia i śmierci swoich poddanych, żyjących w opłakanych warunkach? Jesteśmy pod tym względem świadkami przeobrażeń, których naprawdę wstydzić się nie potrzebujemy. Przypomnijmy sobie dla przykładu stosunek „pani" do służącej, choćby tylko z czasów przedwojennych. Z małymi wyjątkami służąca traktowana była przez swoich chlebodawców jako wół roboczy, któremu nie wolno być zmęczonym, któremu nie wolno chorować, któremu musiało wystarczyć 2 godziny „wychodnego" na tydzień.

WSZYSTKIEMU WINNA TECHNIKA

I co już dobrego dała technika? Czy ułatwia człowiekowi życie? Czy bez techniki nie lepiej się żyło? Oto najczęściej stawiane pytania. A odpowiedzi na nie pełne są najczarniejszych prognoz i oczekiwań. Owszem, jednostkom na pewno było lepiej, ale czy masom także? A przecież to jest decydujące.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że ci najzagorzalsi sceptycy — „myśliciele" wiedzą dobrze jak najlepiej korzystać z błogosławieństw techniki dla siebie i bynajmniej swych kasandrowych teorii nie podbudowują własną praktyką ży-

*) Na podst. artykułu H. Krügera z Ewang. Digest.

cłową, rezygnując np. z posiadanego auta. Jakie są więc według nich grzechy techniki? A więc anonimowość wszelkich procesów produkcyjnych, bezduszność i funkcjonalizm społeczeństwa. Człowiek epoki technicznej — powiadają — jest wewnętrznie pusty, zubożały, jako osobowość zatomizowany, młodzież seksualnie przewrażliwiona, a starzy ludzie, jako z produkcji wyłączeni, w ogóle są poza nawiasem. Po prostu chciałoby się, jak ktoś powiedział, technikę uczynić kozłem ofiarnym za złe sumienie Europy.

Porównując cywilizację przeszłości z współczesną popełnia się przede wszystkim ten kardynalny błąd, że zjawiska sporadyczne największego upadku epoki współczesnej porównuje się z odosobnionymi zjawiskami charakteru dodatniego epoki minionej, a takie postępowanie jest po prostu zwyczajną nieuczciwością. Nie można bowiem św. Franciszka z Asyżu przeciwstawić pierwszemu lepszemu człowiekowi naszych czasów, lecz postępując uczciwie, należy go porównać np. z Albertem Schweitzerem. Nerwowych ludzi czasów dzisiejszych porównuje się z pełnym sił życiowych człowiekiem baroku, jakiego znamy z obrazów, zapominając przy tym, że takimi byli tylko nieliczni a masy ludzkie wstrząsane były paroksyzmami strachu, religijnie wynaturzonymi psychozami masowymi, religijną histerią i flagelantyzmem a więc stanami, których my dziś właściwie już nie rozumiemy.

Trzeba porównywać wyżyny z wyżynami, głębiny z głębinami, a wtedy wynik będzie zgoła inny. Tu i tam jeszcze wybuchające masowe mordy i skutki barbarzyństwa należy raczej porównywać z masowymi zniszczeniami np. wojny trzydziestoletniej. Metafizycznej ufności takiego Dantego, Cervantesa, Calderona odpowiada dziś melodia radości powiedzmy Claudela czy też Garcia Lorca. Nowoczesny jazz należy traktować jako muzykę radości i życia, jest on przyszłą muzyką domową epoki technicznej i odpowiada romantycznej muzyce salonowej XIX w. Kto obraz świata, nakreślony przez Tomasza czy Hegla, przeciwstawia egzystencjalistycznym pogwarkom przy „pół czarnej" drobnomieszczańskich intelektualistów, a potem rozdziera szaty nad dekadencją współczesności, ten popełnia historyczną nieprawość. Takim autorytetom należy przeciwstawić powiedzmy Roussela, Guardiniego lub Karola Bartha.

NOWA CYWILIZACJA

Jest rzeczą pewną, że **epoka technicznej cywilizacji kryje w sobie wiele kryzysów i niebezpieczeństw. Sprawiedliwa ocena tego zjawiska musi mieć za podstawę całość problemu.** Żyjemy obecnie w czasie szybkiego przyrostu ludności świata, który to przyrost jest clou wszelkiej analizy sytuacyjnej. Około r. 1900 ludność świata wynosiła 1,6 mld., dziś już 2,8 mld., a w końcu tego wieku co najmniej się podwoi, a za 100 lat przy obecnym przyroście naturalnym osiągnie zawrotną liczbę 30 miliardów, czyli wzrośnie więcej niż dziesięciokrotnie. Długowieczność dzięki poziomowi obecnej cywilizacji wzrosła niepomiernie.

Podczas gdy przeciętny wiek w Indiach wynosi 27 lat, w Europie dochodzi w niektórych państwach do 70. Taka jest rzeczywistość i tę trzeba mieć na uwadze przy ocenie sytuacji światowej. W tym świecie bowiem nie ma zysku bez straty, nie ma żadnej wartości bez koniecznej do zapłaty ceny.

Tylko dzięki technice istnieją dziś możliwości utrzymania przy życiu tych stale wzrastających milionów nowych ludzi.

Podczas gdy patryjarchalno-feudalny porządek społeczny zapewniał jedynie pewnej nielicznej klasie społecznej możność życia na wysokim poziomie, techniczna cywilizacja stwarza nieprzeliczonym masom względnie wysoki standard życiowy. Temu ilościowemu wzbogaceniu musi oczywiście odpowiadać przynajmniej tymczasowo jakościowy ubytek.

Tak więc **na miejsce arystokratycznej kultury elitarnej przychodzi demokratyczna cywilizacja masowa.**

Ta nowa cywilizacja wykazuje wprawdzie liczne niebezpieczeństwa, ale właściwie umożliwia ona utrzymanie przy życiu tych ciągle przybywających milionów ludzi. Jeszcze wciąż połowa ludzkości jest niedożywiona i jak długo ten problem istnieje, technika i produkcja przemysłowa będą miały za zadanie przez jeszcze bardziej wzmożoną działalność zapobiec nędzy.

Te perspektywy odsłaniają nam dopiero etyczne zadanie wieku techniki. Widać też ogrom rewolucyjnych przeobrażeń, których świadkami właśnie jesteśmy. Pojedyncze kręgi kulturowe, jak je np. Spengler jeszcze widział, ulegają automatycznemu rozwiązaniu, **a zaczynają się kształtować formy cywilizacji światowej.**

Ten proces jest czymś zupełnie nowym, historia nie znała go dotąd i dlatego trzeba się wmyśleć i chciec go zrozumieć. I tu leży przyczyna kryzysu, jaki odczuwamy, a który pesymizmem kulturowym nazywamy.

Cywilizacja techniczna nie prowadzi oczywiście prostą drogą do szczęścia. Raju sobie tu na ziemi nie stworzymy. Dotychczas stosowane miary nie wystarczają dla przeprowadzenia analizy obecnej rzeczywistości. Ocena tej rzeczywistości musi leżeć poza granicą pesymizmu i musi być przeprowadzana konkretnie i trzeźwo od wypadku do wypadku. Jest to niewątpliwie problematyka trudna, gdzie niebezpieczeństwo i korzyść, zagrożenie i szansa leżą obok siebie. Jeżeli Ranke powiedział, że każda epoka grawituje „bezpośrednio ku Bogu", to trzeba powiedzieć, że prawem analogii grawituje także bezpośrednio ku szatanowi. Zło nadal istnieje na ziemi i zajmuje i będzie zajmowało wyzywające pozycje.

W każdym razie wydaje się nam korzystniejsze, zamiast narzekać na obecne czasy, przyczyniać się do budowy tej nowej rzeczywistości. Przeżyliśmy gwałtowny przełom nauk

przyrodniczych i techniki, przeżyliśmy emancypację robotnika, kobiety i dziecka. Świat obecny jest na pewno lepszy od tego, który był, tylko cały problem polega na tym, że postęp moralny, aczkolwiek znaczny, jest wciąż jeszcze niewspółmiernie mały w stosunku do postępu technicznego i na tym punkcie może dojść do niebezpiecznego spięcia.

Być może druga połowa tego wieku przyniesie ze sobą narodziny nowych moralnych i duchowych wartości, niezbędnych dla normalnego funkcjonowania nowoczesnego organizmu światowego w epoce już nie tylko technicznej lecz atomowej.

Na tym odcinku niepośrednią rolę może odegrać chrystianizm, jeżeli tylko możliwie szybko zrozumie tę kardynalną prawdę, że koła historii odwrócić się nie da, co zresztą wcale nie leży w interesie ludzkości. **Chrystianizm jest religią uniwersalistyczną, zarówno w odniesieniu do przestrzeni jak i czasu.** Chrystianizm może spełnić i napewno spełni swoją od Boga mu daną misję w tym wciąż jeszcze rodzącym się nowym świecie, tak bardzo niepodobnym do minionego.

(Dokończenie ze str. 14).

szkoła rozporządzała nagrodą tj. wpisaniem jego nazwiska na pamiątkowej tablicy szkoły", aczkolwiek kierunek szkoły Jubilatowi zupełnie nie odpowiadał. Będąc młodzieńcem głęboko religijnym zawsze pociągała go teologia. Uzupełnia więc braki w humanistycznym wykształceniu, aby się móc zapisać na wydział teologii w Dorpacie. Po ukończeniu studiów zostaje w r. 1913 ordynowany w kościele św. Trójcy w Łodzi na wikariusza tejże parafii, w której proboszczem był słynny na owe czasy Kaznodzieja ks. Gundlach. W r. 1915 Ks. Krenz zostaje delegowany na administratora do Grodźca i Zagórowa, które to parafie zostały osierocone na skutek zesłania w głąb Rosji dotychczasowego duszpasterza.

Zaraz po skończonej wojnie obejumje nowo utworzoną parafię w Nieszawie i tu położył wielkie zasługi zarówno przy organizowaniu parafii jak też na polu organizacji szkolnictwa polskiego, piastując przez pewien okres czasu zaszczytne stanowisko prezesa Dozoru Szkolnego i będąc jednocześnie członkiem Rady Szkolnej w pobliskim Aleksandrowie Kujawskim.

Parafię nieszawską zorganizował według najlepszych wzorów, wprowadzając m. in. regularne nabożeństwa dla dzieci i zebrania młodzieżowe. W r. 1930, a więc trzydzieści lat temu, Konsystorz doceniając szczególne uzdolnienia i kwalifikacje pedagogiczne Jubilata, powołuje go na wielce odpowiedzialne stanowisko prefekta przy parafii św. Trójcy w Warszawie.

I tej pracy pedagogicznej, trudnej i wymagającej wielkiej cierpliwości poświęca się dotąd całym sercem, zdobywając sobie uznanie, a przede wszystkim serca dzieci i młodzieży. To przecież on, czcigodny nasz Jubilat dał wychowanie religijne niejednemu pokoleniu ewangelików warszawskich. Pracę swoją w pomieszczeniach szkolnych wspiera wydanym przez siebie pisemkiem dla dzieci i młodzieży.

Druga wojna światowa obeszła się z Jubilatem niezwykle srogo. Najpierw więziony wraz z wszystkimi duchownymi parafii św. Trójcy wylądował w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Po ciężkich przeżyciach, fizycznie i psychicznie całkowicie wyczerpany, wraca do okupowanej Warszawy. Nieustraszenie bierze udział w tajnym nauczaniu kompletów zborowego Gimnazjum im. Mikołaja Reja. Powstanie warszawskie stanowi dla Jubilata jak dla wszystkich Polaków tragedię narodową, ale też i osobistą. Pod gruzami domu przy ul. Szpitalnej ginie żona (córka ś.p. Ks. Angersteina) oraz jedyna córka. Ks. Krenz zostaje sam ze swym synem Janem, znanym dziś nie tylko w kraju, ale też i za granicą utalentowanym kompozytorem i dyrygentem.

Po tułaczce popowstaniowej, bynajmniej niełatwej, wraca do zburzonej stolicy i rozbitego dosłownie zboru warszawskiego i rozpoczyna na nowo, bez rozgłosu, bez żądzy sławy i uznania, spokojną ale niezwykle twórczą pracę na niwie pedagogicznej i piśmienniczej. Jako doskonały teolog-praktyk daje swój cenny wkład do nowej Agendy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, jest głównym autorem „Śpiewnika Powszechnego" i przez długi czas redaguje niezwykle starannie i ciekawie Dodatek dla Dzieci w „Strażnicy Ewangelicznej".

W wyniku długoletniej, sumiennej pracy ukazują się drukiem podręczniki do nauki religii: „Pójdźmy do Jezusa", „Śpiewniczek dla Dzieci" a w ostatnich tygodniach bardzo pożądany podręcznik, stanowiący wykład katechizmu Dr M. Lutra pt. „Nauka wiary i życia". Książka ta stanowi pewnego rodzaju małe kompendium nauki Kościoła Ewangelicko-Augsb., do którego zaglądać będzie często starsze społeczeństwo ewangelickie. W bilansie wyników pracy Jubilata byłaby wielka luka, gdybyśmy nie wspomnieli niezwykle płodnej pracy publicystycznej, o niezwykle szerokim wachlarzu tematycznym. Mogli się o tym przekonać również czytelnicy „Jednoty".

Oto jest tylko pobieżnie podany plon pracy jednego człowieka, pracy nie zawsze odpowiednio docenianej. A przecież niewielu z naszych duchownych może się mierzyć z naszym Jubilatem, jeśli chodzi o dorobek publicystyczny i naukowy.

W dniu 70-tych urodzin Ks. Ottona Krenza składamy hołd całej jego postawie życiowej, u podstaw której leży szczera wiara, głęboki humanizm i niezwykła pracowitość. A ponad tym wszystkim góruje chrześcijańska pokora, miłość i optymizm.

KS. JAN NIEWIECZERZAŁ

Śladami minionego czasu

(Fragment)

Trzaskanie z bicza i ujadanie psów przerwało zadumę starca. Przed wtaczającym się pojazdem otwarła się brama, wiodąca na dziedziniec pokryty gęstą murawą. Okrągły klomb z rozłożystą lipą pośrodku i rabatami barwnych kwiatów po brzegach, czysty, wyżwirowany podjazd prowadzący do białego, obszernego ganku mówiły o porządku i zamożności gospodarza.

Przestronny, ozdobiony narożnymi basztami a przy tym w nowoczesnym stylu utrzymany dom z licznymi oknami i pięknymi rzeźbami kazał przypuszczać, że właściciel owej siedziby nie był obojętny na wyczucie piękna i smaku. Kuta w żelazie brama, nad którą widniał na bocznych kolumnach oparty herb i takaż tarcza herbowa w trójkącie nad gankiem przypominały przybyszom, że wchodzą w progi starego, zamożnego rodu szlacheckiego.

W głębi za domem znajdowały się zabudowania gospodarcze, również świadczące o troskliwej opiece pana.

Oddzielone one były od dworu prostokątem wysokich drzew, wśród których nie brakło starych cisów i modrzewi. Za podwórzem zaś w stronę wijącego się potoku zagony warzyw i drzewa owocowe rzadkich odmian i wartości.

* * *

Stary, w palonych butach i długiej czamarze sługa z wyraźną radością witał przyjezdnego. Uchwyciwszy wędzidła poprowadził powóz do podjazdu i zgiąwszy się w pokłonie pomagał wysiąść przybyłemu. Już też i drzwi się otwarły, w których stanęła w poranny strój przyodziana postać starszej, o delikatnej cerze i życzliwym spojrzeniu niewiasty. Wyciągnęła ręce ku podróżnemu, który je ucałował z czcią i szacunkiem.

Wybacz pani dobrodziejko — ozwał się pan Stanisław — oto sprawy ojczyzny i eklezji naszej zatrzymały mnie nieco w Krakowie, w którym znaczne podniecenie da się obserwować. Mniemam, żem nie przysporzył waćpani niepokoju, przysławszy wczoraj konie i wiadomość o tym, że przyjaciel a towarzysz mój z niejednej opresji, pan starosta Rozłucki do zostania przymusił.

Powiedziawszy te słowa wszedł do obszernej komnaty, do której właśnie na powitanie przybyłego wstąpiła piękna młoda dziewczyna. Długie, mieniące się złocistą barwą spadające włosy, jasna, spięta klamrą suknia i klasyczne rysy twarzy opromienione radosnym uśmiechem podkreślały urok postaci. Uścisnąwszy ją czule, pan Stanisław oddał podróżny płaszcz oczekującemu pachołkowi i wszedł do następnej izby.

Pokój ten wydawał się raczej pracownią uczonego aniżeli komnatą przeciętnego ziemianina. Szyszaki i hełmy, lśniące zbroje i miecze z wysadzanymi drogimi kamieniami rękojeściami i pochwami, czapraki i siodła cudzoziemskiej roboty, tarcze i husarskie skrzydła obok skrzyżowanych kopii choć zajmowały wiele miejsca to jednak ustępowały okazałemu sekretarzowi i półkom, zapełnionym książkami.

Przybyły spojrzał na broń z zadumą. Oto pancerz srebrzysty, z wyraźnymi śladami krzywych szabel tureckich, przywodzi na myśl nieszczęsną bitwę pod Mohaczem w 1526 roku, w której prawie że do nogi wybito jazdę polską pod wodzą dzielnego Jana Gnojeńskiego. Pan Stanisław wzdryga się wewnętrznie na wspomnienie bagiennego grobowca tysięcy jeźdźców i tragicznej śmierci Ludwika, młodego króla Węgier, którego w chwili decydującej opuściły dwory europejskie i sam Zapolya. Na nic się zdało bohaterstwo Polaków i rycerska krew Jagiellonów — na polu bitwy wśród tysięcy poległych pozostały jeno zwłoki bohatera w towarzystwie wiernego Trepki.

Ów zaś miecz nabijany przypomina inną — radośniejszą chwilę. Gdy pełen pychy lennik Selima II hospodar mołdawski Stefan najechał Pokucie, król Zygmunt dnia 1 czerwca 1530 roku zwołał radę wojenną i oddał naczelne dowództwo nad wojskiem Janowi Tarnowskiemu, wojewodzie ruskiemu i hetmanowi wielkiemu koronnemu. Wybór był pod każdym względem trafny bo Tarnowski, z sztuką wojenną doskonale obeznany, miał nie tylko w Polsce ale i w Europie całej sławę znakomitego wodza.

Jego to posłał król na czele zastępów jezdnych i pieszych przeciwko zdradzieckiemu Wołoszynowi. Pan Stanisław wyszedł dnia 17 czerwca z Krakowa w oddziale rotmistrza Trzebińskiego, z którym też przechodził Dniestr, by uczestniczyć w ataku na Czesybiesy, w zwycięskich podjazdach do granic mołdawskich i wreszcie w wielkim zwycięstwie pod Obertynem.

Pamiętna chwila zwycięstwa złączyła się w pamięci pana Stanisława powtórnie z obrazem trzęsawiska, w które wtłoczyła się i gdzie zginęła główna masa uciekających Wołochów.

W nagrodę za dzielność otrzymany z ręki Tarnowskiego drogocenny miecz wezyra przywodzi zawsze wspomnienie wspaniałej komety, oświecającej w nocy straszliwe pobojowisko a zarazem świetny, niby rzymskich konsulów, zwycięski powrót rycerzy do Krakowa.

I dziś podnosi pan Karski często swój wzrok ku niebu, jak gdyby wśród migotliwych gwiazd szukał drogiego przyjaciela, rotmistrza Herburta, co jak Winkelried rzucił się na osęki wołoskie, by swoim drogę utorować. Nie masz też bohaterskich rotmistrzów: Andrzeja Kalinowskiego, Łukowskiego i Kuźmińskiego — poległych wraz z wieloma towarzyszami za świetność ojczyzny i chwałę polskiego oręża.

Czapraki i kopie zdobyczne buńczuki i bogate rzędy mogły-

by wiele powiedzieć o służbie rycerskiej i walkach z pohańcami pana Stanisława.

Odwróciwszy oczy od świadków burzliwej młodości, pan Stanisław miękkim spojrzeniem objął zapełnione półki. W szeregach równo jak na żołnierskiej paradzie, stoją obok siebie oprawne w skórę i aksamit, kute miedzią i srebrem, grube i niepozorne tomy.

Znać po nich, że używane są często a trzymane starannie. Na górze, jakby królując nad wszystkimi, błyszczą w drogocennej oprawie klasycy greccy i rzymscy. Widać tu Homera i Horacego, Platona i Arystotelesa, a obok nich Liwiusza i Cycerona. Dalej cenne zabytki średniowieczne, które ustąpić muszą przeważającej liczbie ksiąg rodzącego się Renesansu. Oto „Boska komedia" Dantego, utwory Petrarki i Boccaccia, Machiavelli i Tasso, Arriosto i Rabelais, wreszcie Ronsard w pięknym safianie.

Nieco niżej foliały w deski jednakie oprawne, to dzieła mistrza Erazma z Czerwonej Grobli. Niejedno z nich pamięta chwile pobytu pana Stanisława w Bazylei, owej stolicy myśli nowej epoki ku której kierowały się oczy żądnych wiedzy ludzi całego świata, oczy książąt i królów, jak i ambitnych a niekiedy biednych adeptów wyzwalającej wiedzy.

W pamięci pana Stanisława odżywa ów niezapomniany dzień, gdy w domu mistrza pośród ulubionych uczniów i słuchaczy ujrzał po raz pierwszy człowieka, który miał zaważyć również i na jego przyszłym życiu. Wysoki, szczupły młodzieniec o szlachetnym, arystokratycznym wyrazie twarzy i głębokich oczach, zwrócił wnet jego uwagę. Przypuszczał zrazu — sądząc po obejściu i bogatym a zarazem poważnym ubiorze oraz z powodu przebywających w onczas w mieście licznych Włochów i Francuzów — że to jakaś szczególnie znaczna osobistość rzymskiego patrycjatu lub wysłannik nawarskiego dworu.

Doskonała łacina, jaką się posługiwał w rozmowie z pisarzami i skrybami a i z samym mistrzem, który ze szczególnym upodobaniem wsłuchiwał się w wypowiedzi młodzieńca, kazały przypuszczać, że w domu Erazma zajmuje niepospolite miejsce. Kiedy jednakże pan Stanisław zmuszony był zwrócić się sam doń z jakimś pytaniem, poznał swoją omyłkę. Ku niekłamanej radości dowiedział się, że to nie kto inny jeno sam Jan Łaski, późniejszy reformator polski, synowiec arcybiskupa, który tutaj zgłębiał swą wiedzę, przesiadując nocami nawet w bogatej bibliotece gospodarza.

Może już wtedy młody Jan powziął myśl nierozstawania się z bogactwem w księgach tych zawartym, skoro nie zawahał się później zaproponować mistrzowi nabycie biblioteki na własność. Prawdopodobnie i Erazm wiedział, że w ten sposób znajdzie się ona w dobrych rękach, skoro sprawę bez targów załatwiono a po śmierci właściciela nie kto inny, jak sam Andrzej Frycz Modrzewski na furach przewiózł ją do Polski.

Niejedna też księga pana Stanisława ozdobiona była własnoręczną dedykacją Erazma. Cenił je sobie więcej aniżeli drogie pierścienie i puchary, którymi wzbogacił szkatułę wielkiego Niderlandczyka.

Lecz nie tylko w obcych dziełach kochał się pan Karski. Na półkach poczesne miejsce zajmowały i twory rodzime. Oto „Historia Polonica" Długosza, „Memoriał w sprawie uporządkowania Rzeczypospolitej" Ostroroga, dzieła Kallimacha, Biernata z Lublina, poezje Janickiego, zaś pośród nich wszystkich cenne wydania Górnickiego, Reja, Modrzewskiego i Kochanowskiego.

Jedna półka, ku której najczęściej podchodził gospodarz, to półka z literaturą szczególnie przezeń ulubioną. Księgi to najbardziej bliskie, miłe sercu i ducha podnoszące, księgi pobudzające do życia zgodnego z wolą Pana, uczące naśladować Mistrza z Nazaretu. Przypominają one chwile początków owego boju o polski Kościół chrześcijański, w którym na miejscu skażenia odrodzić się miała czystość, szczera wiara i pokój poprzez wiarę tę na Rzeczypospolitą płynący. Jest więc Seklucjana „Wyznanie wiary chrześcijańskiej", dedykowane królowi Zygmuntowi, jest Murzynowskiego „Testament Nowy Zupełny", jest i dopiero co wydane „Repetitio albo powtórzenie sumy chrześcijańskiej kościelnej nauki" — Maleckiego, nie brak też i „Postylli Polskiej Domowej" Grzegorza Orszackiego.

Dalej widzimy Psałterze i Postylle Jakuba Niemojewskiego, Mikołaja Reja i Andrzeja Wolana, Frycza Modrzewskiego bazylejskie wydanie „Commentatorium de republica emendanda libri quinque" Łaskiego pisma i katechizmy, parafrazy poetyckie i przekłady Psałterza Rybińskiego i Lubelczyka i wiele innych, stanowiących cząstkę bogatej twórczości tego okresu.

Spojrzenie pana Karskiego kieruje się w stronę szerokiego sekretarza, na którym leży rozwarta tylko jedna księga. Kute srebrem i w srebrne klamry zaopatrzone deski, wyciskane złotem brzegi, staranny druk i piękne inicjały wskazują na trud i umiejętność wydawców. Artystyczny napis na pierwszej stronie wskazuje, że jest to Biblia czyli Pismo Święte, nakładem księcia Radziwiłła w Brześciu 1563 r. wydane, dzieło najznakomitszych teologów protestanckich owego czasu.

Odsunąwszy niedźwiedzią skórą nakryty zydel, pan Stanisław usiadł przy stole i odwrócił kart kilka. Po chwili zagłębił się w czytaniu Ewangelii, którą wczoraj w Krakowie zgromadzonemu zborowi objaśniał imć pan minister Grzegorz Żernowczyk z Włoszczowej.

Do komnaty poprzez otwarte okna napływają dźwięki uderzanych palcami strun i tony srebrzystego głosu śpiewającego nabożną pieśń kościelną.

„Radujmy się dziś społecznie,
Chwałę wzdawajmy serdecznie
Bogu Ojcu i Synowi,
Także Świętemu Duchowi".

Wybrał W. B.

Wiadomości sprzed pół i ćwierćwiecza

ROK 1909

JERZY BADURA. Dnia 9 bm. w Międzyborzu, na Śląsku pruskim, obchodził czterdziestolecie urzędu kaznodziejskiego miejscowy pastor zboru polskiego, Jerzy Badura, zgoła niepospolity i ostatni może prawdziwie polski pastor w Prusach, gdzie żyje jeszcze z górą 400 000 ludności polskiej wyznania ewangelickiego. Bronił on święcie interesów duchowych swego zboru polskiego od złowrogiej hakaty i złości germanizacyjnej.

Życie zacnego pastora było pasmem prześladowań, wśród których stał niewzruszenie, jak wódz na swej polskiej placówce. Otacza go też powszechna cześć i miłość. Na starej piastowskiej ziemi jest on jedną z najszlachetniejszych postaci w szeregach dzielnych Ślązaków, pracujących dla przyszłości polskiej.

Z różnych stron kraju i z różnych zaborów na dzień jubileuszu nadeszły życzenia listowne i telegraficzne; rozczulające były dowody pamięci, składane przez lud, przez wiernych swemu przewodnikowi parafian.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKI W PŁATKOWNICY. Dnia 8 października w wsi Płatkownicy (powiatu węgrowskiego, gub. siedleckiej), położonej o pięć mil od Węgrowa, nad samym Bugiem, dokonał poświęcenia nowej świątyni ewangelicko-augsburskiej, superintendent generalny zborów w kraju, pastor Juliusz Bursche.

Kierował budową świątyni oraz administrował filiałem pastor-diakon August Loth, opiekun szkół i instytucji dobroczynnych zboru warszawskiego. Plany sporządził inżynier powiatu węgrowskiego, Jan Zajączkowski.

KONKURS NA APOTEOZĘ JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych zgodnie z życzeniem właścicieli wielkich zakładów graficznych, p.p. F.K. Ziółkowskiego i sp. w Pleszewie, pragnących się przyczynić do uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, ogłosił w roku zeszłym konkurs na obraz lub rysunek, którego przedmiotem ma być, „Apoteoza Słowackiego".

Z nadesłanych na wyznaczony termin pięciu prac konkursowych sąd konkursowy żadnej nie uznał, jako zasługującej na nagrodę i dlatego Komitet Towarzystwa zgodnie z życzeniem p.p. F. K. Ziółkowskiego i sp. ogłasza ponownie konkurs na obraz lub rysunek, którego przedmiotem ma być „Apoteoza Słowackiego" na tych samych co poprzednio warunkach.

SREBRNE GODY. Znany kupiec warszawski, współwłaściciel firmy „Bogusław Herse", p. Adam Herse, obchodził w przeszłym tygodniu srebrne gody małżeńskie z małżonką swoją p. Joanną z Temlerów. Dla upamiętnienia uroczystości jubilat ofiarował 5 000 rubli, jako kapitał zakładowy na urządzenie specjalnego letniska dla pracowników i pracownic firmy „Bogusław Herse", a nadto 500 rubli jednorazowo na kasę ich pomocy i przezorności. Zasłużona i pełna humanitarnego trybu firma, święciła w swoich współwłaścicielach szczerą, niekłamanie serdeczną uroczystość.

ROK 1934

UMOWA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO Z RADIEM. Z ramienia episkopatu polskiego ks. biskup St. Adamski zawarł umowę z dyrekcją Radia Polskiego. Radio nadawać będzie nabożeństwa, kazania i odczyty religijne katolickie. Nad programem tych audycji oraz jego wykonaniem czuwać będzie specjalna komisja, mianowana przez władzę duchowną. Czytelnik ewangelicki pytać się musi, jakim prawem dyrekcja Radia zawarła umowę z Kościołem Katolickim ze szkodą dla innych wyznań chrześcijańskich w Polsce?

ZE ZBORU WARSZAWSKIEGO. W dniu 17 czerwca odbyła się w miejscowości Żaków pod Mińskiem Mazowieckim uroczystość poświęcenia i otwarcia ofiarowanego Zborowi Warszawskiemu przez współwyznawców naszych, małżonków *Czapek*, nowego sierocińca pod nazwą *„Czapków". Ks. Superintendent St. Skierski w asyście ks. Zaunara z Łodzi oraz ks. Jelena i Jelinka z Warszawy dokonał aktu poświęcenia, podkreślając następnie w podniosłych słowach ofiarność pp. Czapków, którzy* przez swój hojny dar przyczynili się wydatnie do polepszenia warunków bytu sierot naszych, mogących odtąd korzystać stale z tak pięknego letniska w doskonałych i zdrowych warunkach.

Po ukończeniu części oficjalnej uroczystości naszej wszyscy goście udali się na zwiedzenie posesji i domu mieszkalnego sierocińca, który rozmiarem swym, urządzeniem oraz warunkami zdrowotnymi dorównywa wzorowo urządzonym zagranicznym domom sierot. Wspólny posiłek, przygotowany przez opiekę przytułku naszego, zakończył tych kilka godzin spędzonych w nowym domu, mającym służyć wychowaniu religijnemu, moralnemu i fizycznemu sierot Zboru naszego.

Z KONSYSTORZA. Dokonane na Synodzie r.b. wybory Prezesa Konsystorza, w osobie JW. Pana Inżyniera Emila Świdy i I Radcy świeckiego JW. Pana Mecenasa Ryszarda Gerlicza, zostały przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej zatwierdzone.

Łódzkie koncerty organowe

Pielęgnowane w ubiegłych latach koncerty organowe w kościele Św. Mateusza w Łodzi wzbudzały zainteresowanie miłośników tej pięknej gry. Żywe zainteresowanie, jakie im okazywano i liczne pytania o termin wznowienia skłoniły do ich powtórnego zainaugurowania w czerwcu br. występem pana Mirosława Piętkiewicza, absolwenta Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Założeniem naszym była cykliczność i regularność tych koncertów, aby i w Łodzi można było słuchać pięknej gry organowej, zapoznawać się z dziełami wielkich mistrzów, piszących na organy.

W dawnych czasach kościoły były jedynymi miejscami, gdzie uprawiano muzykę artystyczną, a organy swą budową i brzmieniem zrosły się z wnętrzem świątyni niepodzielnie. Rzec by można, że kościół jest tą najlepszą salą koncertową dla „króla instrumentów", że w murach kościelnych organy rozbrzmiewają szczególnie pięknie i potężnie. O ileż bardziej ubogo brzmią w zwykłej sali koncertowej!

W kościołach są też najwspanialsze instrumenty, niektóre liczą sobie po kilkaset lat. Z tych też względów w krajach Europy zachodniej odbywają się w kościołach, szczególnie kościołach ewangelickich regularne koncerty, czy zgoła festiwale muzyki organowej, tam dokonuje się też nagrań radiowych czy płytowych.

Zanim dojdziemy do tego w Łodzi (Polskie Radio transmitowało już nagrania dokonane w kościele łódzkim, grał m. in. pan Mirosław Pietkiewicz), chcemy 2—3 razy do roku organizować koncerty naszych wybitnych wirtuozów organowych, a gdy kościół otrzyma centralne ogrzewanie — może i częściej. Ambicją organizatorów koncertów łódzkich jest zapoczątkowanie i spopularyzowanie na terenie miasta pięknej muzyki organowej.

Wykonawcą ostatniego koncertu łódzkiego w dniu 20 października był pan Jan Kucharski, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Po ukończeniu warszawskiego konserwatorium prof. Kucharski przebywał 2 lata w Paryżu, studiując pod kierunkiem wybitnych mistrzów francuskich: Marcela Duprégo i Josepha Bonneta problemy nowoczesnej gry organowej. Dzięki temu jest prof. Kucharski jedynym znawcą i propagatorem na terenie naszego kraju tzw. francuskiej metody gry na organach. Stąd też w jego ostatnim programie znalazło się aż pięciu Francuzów.

Pierwszy z nich był Francois Couperin (1630—1698), wybitny kompozytor muzyki organowej i klawesynowej. Jego „Offertorium" — utwór przeznaczony na otwarcie, rozpoczął recital prof. Kucharskiego.

Cesar Franck uważany za twórcę francuskiej muzyki symfonicznej, nie mniejsze zasługi jednak położył na polu rozwoju muzyki organowej, będąc od roku 1872 profesorem gry organowej w paryskim konserwatorium. Od niego i jego uczniów rozpoczął się rozwój muzyki organowej we Francji. Z wielu dzieł organowych Francka (1822—1890) na szczególniejszą uwagę zasługuje jego „Poemat bohaterski", będący jakby obrazem zmagania bohatera z przeciwnościami i kończący się triumfalnym chorałem zwycięstwa. Utworem tym prof. Kucharski zapoznał słuchaczy z dziełem tego wielkiego mistrza.

Marcel Dupré, przedstawiciel francuskiej szkoły organowej starszego pokolenia, do niedawna dyrektor paryskiego konserwatorium, ma w swym dorobku kompozytorskim wiele utworów na różne instrumenty i ich zespoły, ale podstawową domeną jego twórczości były zawsze organy.

Dupré wsławił się wykonaniem na szeregu koncertów wszystkich dzieł organowych Bacha z pamięci. Wykonany w recitalu utwór Duprégo „Cortége et Litanie" — procesja i litania jest dwuczęściowy. W pierwszej części mamy echa nadchodzącej procesji, krączącej powoli, majestatycznie. Ale słychać też monotonnie recytowaną przez lud litanię, która stopniowo potężnieje, wzmaga się, aż przybywająca właśnie procesja łączy swe radosne hymny do błagań ludu.

Czwartym z kolei mistrzem francuskim recitalu był Olivier Messiaen (ur. 1908), czołowy kompozytor współczesny, wybitny organista i improwizator, twórca dzieł organowych o charakterze liturgicznym. Prof. Kucharski wykonał jego utwór „Wizja wiecznego kościoła", utwór mający podłoże programowe. Z ciszy morskich odmętów, z wodnej toni poczyna się wyłaniać potężny kościół, a jego dzwony i organy rozbrzmiewają potężnym hymnem na cześć Boga. Ale wkrótce kościół zaczyna się na nowo pogrążać w odmętach morskiej toni, która znów uspokojona szemrze tylko cichutko. „Francuską" część swego recitalu zakończył prof. Kucharski „Toccatą" Widora, utworem wirtuozowskim i pełnym blasku.

Pozostałe dwa punkty programu łódzkiego koncertu wypełnił prof. Kucharski „Toccatą" i fugą d-moll Jana Sebastiana Bacha (1685—1750), oraz improwizacją Surzyńskiego. W ogromnej twórczości Bacha, obejmującej dziewięć tomów pokaźnej objętości, utwór ten zyskał sobie szczególną popular-

ność. Utwór ten rozpowszechnił u nas film „Preludium sławy", osnuty na tle życia Roberta Benzi, „Toccata" i fuga d-moll posłużyła również jako podkład muzyczny pod zrealizowany niedawno film o organach oliwskich. Walory tego pięknego dzieła stawiają je w czołówce utworów organowych. Zawarta, dramatyczna, wirtuozowska „Toccata" ma wielu przysięgłych zwolenników. „Toccata" jest wstępem do fugi, rozbudowanej o wielką wirtuozowską kodę — kadencję.

O polskiej muzyce organowej niewiele właściwie możemy powiedzieć. Należałoby tu przytoczyć dwa tylko nazwiska: Feliksa Nowowiejskiego i Mieczysława Surzyńskiego. Surzyński (1866 — 1924) wybitny wirtuoz i improwizator, pozostawił po sobie niewielką liczbę utworów na organy. Wśród nich największą wartość posiada improwizacja na temat suplikacji „Święty Boże". Utwór ten ma formę wariacji, a potęga brzmienia wiąże się tu z wymową tematu utworu „Święty Boże, święty mocny...".

Koncert łódzki zyskał zainteresowanie łódzkiej publiczności, szczególnie miłośników gry organowej. Piękno świątyni, artyzm wykonania i program recitalu zgromadziły licznych słuchaczy, którzy wypełnili kościół do ostatniego miejsca.

Następny koncert organowy w kościele Św. Mateusza w Łodzi, o tematyce pasyjnej odbędzie się wiosną przyszłego roku.

(W)

KRONIKA STOŁECZNA

Parafia ewang.-reformowana

Dzięki pozyskaniu własnego domu zborowego, parafia reformowana w Warszawie ma obecnie wiele możliwości rozwijania pracy wewnętrznej. W nowej sali zborowej gromadzi się co tydzień liczna grupa dzieci Szkoły Niedzielnej, w każdy zaś wtorek o godz. 18 odbywają się Wieczory Biblijne.

W okresie Adwentu Wieczory te zostały przekształcone w nabożeństwa wieczorne. Tradycyjny wieczór Zborowy (Wieczory Zborowe odbywają się z zasady raz w miesiącu) w listopadzie poświęcony był uczczeniu pamięci Juliusza Słowackiego. Program przygotowała młodzież, podając interesujący zestaw utworów, ukazujących ludzką sylwetkę poety.

*
* *

Z racji zbliżających się świąt Narodzenia Pańskiego zorganizowane zostały dwie imprezy, które skupiły znaczną ilość wyznawców. W sobotę, dnia 19 grudnia o godz. 17 zebrało się ok. 100 osób dorosłych członków Zboru, by w wigilijnym nastroju przy choince przeżyć chwile duchowej radości w oczekiwaniu chwili przyjścia Pana. Śpiew kolęd, przemówienie proboszcza ks. J. Niewieczerzała i składanie wzajemnych życzeń w czasie łamania się opłatkiem, wytworzyło rodzinną atmosferę, w której wielu choć na chwilę zapomniało o samotności i niezabliźnionych ranach z przeszłości.

Wieczór zakończony został modlitwą dziękczynną za doznane od Boga łaski w mijającym roku a zarazem za ofiarne, bo i Kościołowi poświęcone życie śp. Katarzyny Tosio, którą Bóg w tym właśnie dniu po ciężkiej, długiej chorobie odwołał w wieku lat 79 z tego świata.

Następnego dnia, t.j. w niedzielę po południu pełne emocji godziny przeżyły dzieci. Uroczystość gwiazdkowa, przygotowana przez nauczycieli Szkoły Niedzielnej pod kierunkiem ks. Z. Grzybka, zgromadziła ok. 70 dzieci i 30 osób spośród rodziców, towarzyszących swym pociechom.

Program wypełniło okolicznościowe przemówienie, deklamacje, obrazek sceniczny, śpiew kolęd i wreszcie najatrakcyjniejszy punkt programu: św Mikołaj, rozdający gwiazdkę. Wzruszenie i przejęcie się dzieci przestrogami i napomnieniami w odniesieniu do zachowywania się i pilnego uczęszczania na lekcje Szkoły Niedzielnej, jak również radość ogólna, pozostaną na pewno długo w pamięci wszystkich obecnych.

Do miłego i składnego przebiegu obydwu uroczystości niemało przyczyniły się panie z Sekcji Ewang. Społecznej, które nie szczędziły trudu przy przygotowywaniu stołów wigilijnych. Sekcja Ew.-Społeczna ponadto, jak co roku, tak i teraz zajęła się wieloma potrzebującymi rodzinami i osobami samotnymi, przesyłając im na święta specjalne zapomogi i paczki świąteczne z żywnością. Oby ta działalność spotykała się zawsze z należytym zrozumieniem i przyję-

ciem, ażeby przez nią był uwielbiony sam Pan, źródło miłości i pokoju.

PARAFIA ŚW. TRÓJCY

Obchody gwiazdkowe

Tradycji stało się zadość i w tym roku. Okres późnego Adwentu dał asumpt do urządzenia kilku obchodów gwiazdkowych, tak mile widzianych zarówno przez dorosłych jak i dzieci. Ze względu na to, że młodzież akademicka dość wcześnie rozjeżdża się na wakacje świąteczne, a bez niej, szczególnie tej teologicznej z Chylic, trudno coś urządzić, **gwiazdka młodzieżowa** odbyła się już 12 grudnia.

Przy małych adwentowych choinkach (duże z powodu zamieci śnieżnych nie zdążyły jeszcze nadejść) w miłym, wprost familijnym nastroju duże grono dziewcząt i chłopców przy zastawionych stołach w skupieniu wysłuchało Ewangelii o narodzeniu Pańskim, i ochoczo i radośnie śpiewało kolędy. Opiekun młodzieży w serdecznych słowach przemówił do zebranych, kreśląc obraz niezawodnych walorów pokoju w przeciwieństwie do tragizmu wojny, której obecnie dorastająca młodzież właściwie już nie zna. Pokój, o którym mówili aniołowie, jest pokojem wewnętrznym z danego nam w Jezusie Chrystusie zbawienia, ale też pokojem konkretnym w znaczeniu braku wojen, nienawiści i prześladowań. I także o ten pokój trzeba się modlić.

Ostatnia niedziela adwentowa przyniosła wiernym z parafii św. Trójcy dwie uroczystości gwiazdkowe. Bezpośrednio po nabożeństwie odbył się w sali parafialnej tradycyjny **„św. Mikołaj" dla dzieci** ze Szkółki Niedzielnej i z lekcji religii. Ze względu na przeciążenie obowiązkami zawodowymi Mikołaj osobiście się nie pokazał, ale nie omieszkał przekazać bardzo hojnych darów za pośrednictwem ks. prefekta Krenza wszystkim grzecznym dzieciom, których sala parafialna nie mogła wprost pomieścić.

W godzinach popołudniowych w tej samej sali zebrała się wierna **rodzina duchowa ewangelicka,** ta, która uczestniczy zawsze w podobnych spotkaniach. Punktem szczytowym uroczystości było przemówienie ks. prob. Michelisa, który w prostych, lecz chwytających za serce słowach mówił o potrzebie światła wśród ciemności życia ludzkiego. Tym światłem jest Dzieciątko Jezus. Łamanie się opłatkiem było widomym znakiem braterstwa, łączącego ludzi różnego wieku i stanu, zespolonych w jednej rodzinie Bożej. W czasie herbatki zabrał też głos ks. sen. Trenkler oraz miły gość ks. sen. E. Narbuttowicz. Nastrój świąteczny udzielił się wszystkim zebranym.

PARAFIA
EWANGELICKO-AUGSB. ŚW. TRÓJCY
(Kościół: Plac Malachowskiego)

17. I. 60. (II Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. Z. Michelis

24.I.60 (III Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. R. Trenkler

31.I.60. (IV Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. O. Krenz

7.II.60. (V Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. Z. Michelis

14.II.60. (Niedz. Starozapustna)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. R. Trenkler

21.II.60. (Niedz. Mięsopustna)
godz. 11 — nabożeństwo z Komunią św. godz. 10,45 spowiedź
— Ks. Z. Michelis

PARAFIA
EWANGELICKO-REFORMOWANA
(ul. Świerczewskiego 74)

17.I.60. (nabożeństwo)
godz. 10
— Ks. Z. Grzybek

24.I.60. (nabożeństwo)
godz. 10
— Ks. J. Niewieczerzał

31.I.60. (nabożeństwo)
godz. 10
— Ks. Z. Grzybek

7.II.60. (nabożeństwo z Kom. św.)
godz. 10
— Ks. J. Niewieczerzał

14.II.60. (nabożeństwo)
godz. 10
— Ks. Z. Grzybek

21.II.60. (nabożeństwo)
godz. 10
— Ks. J. Niewieczerzał

KOMUNIKAT

Ekumeniczny Tydzień Modlitwy

Słowo wstępne Światowej Rady Ekumenicznej

Od zeszłorocznego Tygodnia Modlitwy szczególnie boleśnie uświadamiamy sobie, jak różnorodnie poszczególne Kościoły Konfesyjne pojmują sprawę zjednoczenia Kościołów. A jednocześnie mimo to rośnie u wszystkich zrozumienie, że jest to wola Boża i że Duch Święty w naszych czasach szczególnie w tym kierunku działa.

Wzywamy przeto wierzących we wszystkich Kościołach Konfesyjnych, aby w rozmyślaniach i na wspólnych zebraniach modlitewnych szukali i prosili Boga o zrozumienie drogi i woli Bożej w tej sprawie.

PROGRAM

Niedziela 17.I.

KOSCIÓŁ POLSKO-KATOLICKI
Naszym wzorem — Kościół (Zbór) w Koryncie.
1. Kor. 1, 1—3, 1 Kor. 12, 12—27
Izajasz 64, 1—9.

Poniedziałek 18.I.

KOSCIÓŁ METODYSTÓW
Znaczenie Apostołów i Proroków.
Efez. 2, 19—22. 1. Sam. 3.

Wtorek 19.I.

KOSCIÓŁ EWANG.-AUGSB.
Świadkowie i Ewangeliści.
1. Piotra 2, 9—10, Mat. 9, 35—38.
Psalm 22, 26—32

Środa 20.I.

POLSKI KOSCIÓŁ BAPTYSTÓW
Pasterze i Nauczyciele.
2. Tym. 3, 14—17, Hebr. 13, 7—17.
5. Mojż. 6, 4—9.

Czwartek 21.I.

KOSCIÓŁ EWANGEL. REFORMOWANY.
Dary Diakonii: cudotwórcy, uzdrowiciele, dobroczyńcy.
Jak. 5, 13—16, Akta 6, 2—6.
Izajasz 61, 1—3.

z KRAJU i ze ŚWIATA

Wiadomości ze świata

● Zjednoczenie Kościołów wschodnich?

Patryjarcha ekumeniczny Konstantynopola Athenagoras I, który jest duchowym zwierzchnikiem wszystkich Kościołów prawosławnych rozwija systematyczną akcję, zmierzającą do zjednoczenia wschodniokościelnych patryjarchów. Specjalna komisja dla „panchrześcijańskich zagadnień" ma przestudiować przeszkody i trudności, stojące na drodze do zjednoczenia starych Kościołów wschodnich, które w ciągu wieków zatraciły jedność. W listopadzie Athenagoras I złożył oficjalne wizyty prawosławnym patryjarchom Antiochii, Jerozolimy i Aleksandrii. Celom zjednoczeniowym służyć będzie również panprawosławny prosynod, zwołany na wiosnę bieżącego roku na wyspie Rodos. Będzie to zapewne pierwszy wypadek w nowoczesnej historii kościelnej, że zbiorą się na wspólnym synodzie przedstawiciele wszystkich Kościołów prawosławnych na świecie, łącznie z przedstawicielami paryjarchatu moskiewskiego.

● Warunkowe uznanie papieża.

Drugi co do ważności dostojnik Kościoła Anglikańskiego arcybiskup Ramsey wyraził w zasadzie gotowość przyznania uprzywilejowanego miejsca papieżowi w stosunku do reszty chrześcijańskich biskupów. jako „primus inter pares". Arcybiskup jednakże kategorycznie odrzucił możliwość uznania nieomylności papieskiej.

● Pastor Kurt Schmidt-Clausen zastępcą Dr. Lund-Quista.

Prezydent Światowej Federacji Luteran Dr Franklin Clark Fry zamianował Ks. Kurta Schmidt-Clausena z Hannoveru zastępcą generalnego sekretarza tej organizacji. Liczy on lat 39, studiował w Wiedniu, Getyndze i Oxfordzie. Brał udział w kongresie ekumenicznym w Evanston w r. 1954 oraz w kongresie Światowej Federacji Luteran w Minneapolis w r. 1957.

● Pomoc ekumeniczna dla Japonii.

W obliczu katastrofalnych spustoszeń, dokonanych przez tajfun w końcu października, Rada Ekumeniczna zwróciła się do wszystkich Kościołów członkowskich z apelem, by poza doraźną pomocą, udzieloną bezpośrednio po katastrofie, włączyły się do dalekosiężnych planów odbudowy. Pierwszy apel o pomoc dla Japonii dał w wyniku 50 000 dolarów i tysiące ton artykułów żywnościowych i odzieży.

● Więzienie za odprawienie nabożeństwa.

Hiszpański duchowny baptystyczny Jose Manuel Moreno, który się „włamał" do własnego kościoła, aby odprawić nabożeństwo, został skazany przez sąd madrycki na 1 miesiąc aresztu i 1 000 pesetów grzywny. 38 lat liczący duchowny nie potrzebuje jednakże odsiadywać kary, gdyż została mu ona darowana na podstawie amnestii, wydanej z okazji... wstąpienia na tron papieski Jana XXIII.

● Duchowni fińscy pracują w fabryce.

21 pastorów fińskich zaciągnęło się do pracy w fabryce na sześć tygodni, ażeby w ten sposób poznać warunki życia swoich parafian-robotników. Po upływie tego terminu odbędą oni 2-tygodniowy kurs w w kościelnym „seminarium przemysłowym" w Järvenpää w celu wykorzystania zdobytych doświadczeń.

● Czwarty kościół ewangelicki w Tyrolu.

W listopadzie ub. roku biskup Kościoła Ewangelickiego w Austrii dr May oddał do użytku nowy kościół p. w. Św. Krzyża w Völs koło Insbrucka. Jest to już czwarty kościół ewangelicki, wybudowany w południowym Tyrolu.

● Nabożeństwa ewangelickie w radio włoskim.

Na liczne skargi m. in. jedynego deputowanego wyznania ewangelickiego w parlamancie włoskim, godzina nabożeństw ewangelickich, nadawanych w każdą niedzielę, została przeniesiona z godziny 7,15 na godz. 7,45, co bardziej odpowiada słuchaczom.

● Ofiarność chrześcijan amerykańskich.

Członkowie 52 protestanckich i prawosławnych Kościołów, zrzeszonych w Narodowej Radzie Kościołów Chrystusowych, złożyli na cele kościelne w r. 1958 rekordową sumę 2.352.159.290 dolarów. Na jednego parafianina przypadają przeszło 62 dolary.

● Chrześcijanie australijscy za pokojem.

Australijska Rada Ekumeniczna domaga się całkowitego zakazu doświadczeń z bronią nuklearną. W telegramie do premiera Menziesa Rada Ekumeniczna stwierdza, że wola do pokoju narodów i ich oburzenie z powodu marnowania surowców dla celów wojskowych nie powinny pozostać bez echa u rządzących tym światem.

● Missouri Synod (USA) skłonny do współpracy ekumenicznej?

Kościół Luterański Synodu Missouri, który dotąd odnosił się negatywnie do wszelkiej pracy ekumenicznej, zgodził się nawiązać rozmowy z Narodową Radą Luterańską. Jeszcze przed kilku miesiącami odrzucił takie sugestie. Przypomnieć należy, że wspomniany Kościół nie należy do Światowej Rady Kościołów ani do Światowej Federacji Luterańskiej.

● Luteranie abisyńscy pomagają Erytrei.

Parafianie zboru ewangelicko-augsburskiego w Addis Abebie zebrali przeszło 1000 dolarów dla ludności Erytrei, dotkniętej plagą szarańczy i nie spotykaną dotąd suszą. Zbór w Addis Abebie liczy zaledwie 630 zapisanych członków. Na ten sam cel Luterańska Światowa Federacja złożyła przeszło 2.000 dolarów.

● Teolog ewangelicki otrzymuje literacką nagrodę.

Znany luterański teolog amerykański, pochodzenia słowackiego, dr. Jarosław Pelikan otrzymał nagrodę literacką za ostatnią swoją książkę, wydaną p.t. „Tajemnica rzymskiego katolicyzmu". Podczas wręczenia nagrody wygłosił on przemówienie, w którym wezwał protestantów i katolików, aby „położyli kres zimnej wojnie pomiędzy kościołami" a raczej podjęli na to miejsce twórczy dialog.

● Genewa — Moskwa.

W listopadzie wyjechała do Związku Radzieckiego oficjalna delegacja Rady Ekumenicznej z 3-tygodniową wizytą, stanowiącą rewizytę odwiedzin przedstawicieli patryjarchatu moskiewskiego, która miała miejsce latem ubiegłego roku w Genewie. Celem wizyty jest nawiązanie bliższych kontaktów pomiędzy Kościołem Prawosławnym w ZSRR a Radą Ekumeniczną. Delegacja, na czele której stał sekretrz generalny Dr. Visser't Hooft odwiedziła liczne zbory baptystyczne, Luterański Kościół na Łotwie oraz Kościół Armeński.

Rozwiązanie konkursu Młodej Jednoty: CZY ZNASZ TE DATY?

Nagrodę w postaci książki za prawidłowe rozwiązanie konkursu otrzymuje Zuzanna Śliwka z Ustronia. Nagrodę przesyłamy pocztą.

Oto prawidłowe odpowiedzi:

Rok 1517 — Dr M. Luter przybił w Wittemberdze swoje słynne tezy.

Rok 1518 — Pierwsze reformatorskie wystąpienie w Polsce.

Rok 1519 — Narodziny Kościoła Ewangelicko-Reformowanego.

Rok 1520 — Marcin Luter spalił bullę papieską.

Rok 1521 — Luter stanął przed Sejmem w Wormacji.

Rok 1523 — Ulryk Zwingli ujął swą naukę w 67 zdaniach.

Rok 1529 — Odbył się zjazd w Marburgu.

Rok 1530 — Zebrał się sejm w Augsburgu.

Rok 1563 — Pierwsze wydanie polskiej Biblii.

Rok 1570 — Podpisano Ugodę Sandomierską.

Redakcja „Jednoty" przypomina o konkursie pod hasłem: „W KAŻDYM DOMU EWANGELICKIM EGZEMPLARZ „JEDNOTY"

Warunki Konkursu:

1) Udział w konkursie biorą wszyscy nowi abonenci, którzy:
   a) zgłoszą osobiście lub pisemnie prenumeratę na r. 1960;
   b) wpłacą przy zgłoszeniu co najmniej kwartalną prenumeratę w wysokości 12.— zł.
2) Pomiędzy wszystkich uczestników konkursu rozlosowane zostaną komisyjnie 3 **cenne nagrody** w postaci: **I. radioodbiornika II. aparatu fotograficznego III. wazonu** — oraz kilku nagród książkowych.
3) Pomiędzy osoby (także starych abonentów), które zgłoszą zbiorową listę nowych prenumeratorów, obejmującą nie mniej niż 5 nazwisk i wpłacą również zbiorowo prenumeratę za co najmniej 1 kwartał w wysokości 12.— zł od każdego, wylosowany zostanie drugi **radioodbiornik.**
4) Termin zgłoszeń upływa z dniem 31 stycznia 1960 roku.

Zgłoszenia należy nadsyłać na adres: Redakcja „Jednoty" Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a.

Prenumeratę należy wpłacać na konto „Jednoty" w PKO Nr. 1-7-110-097, Warszawa lub zwykłym przekazem pocztowym na adres Redakcji.

Cena 4.— zł